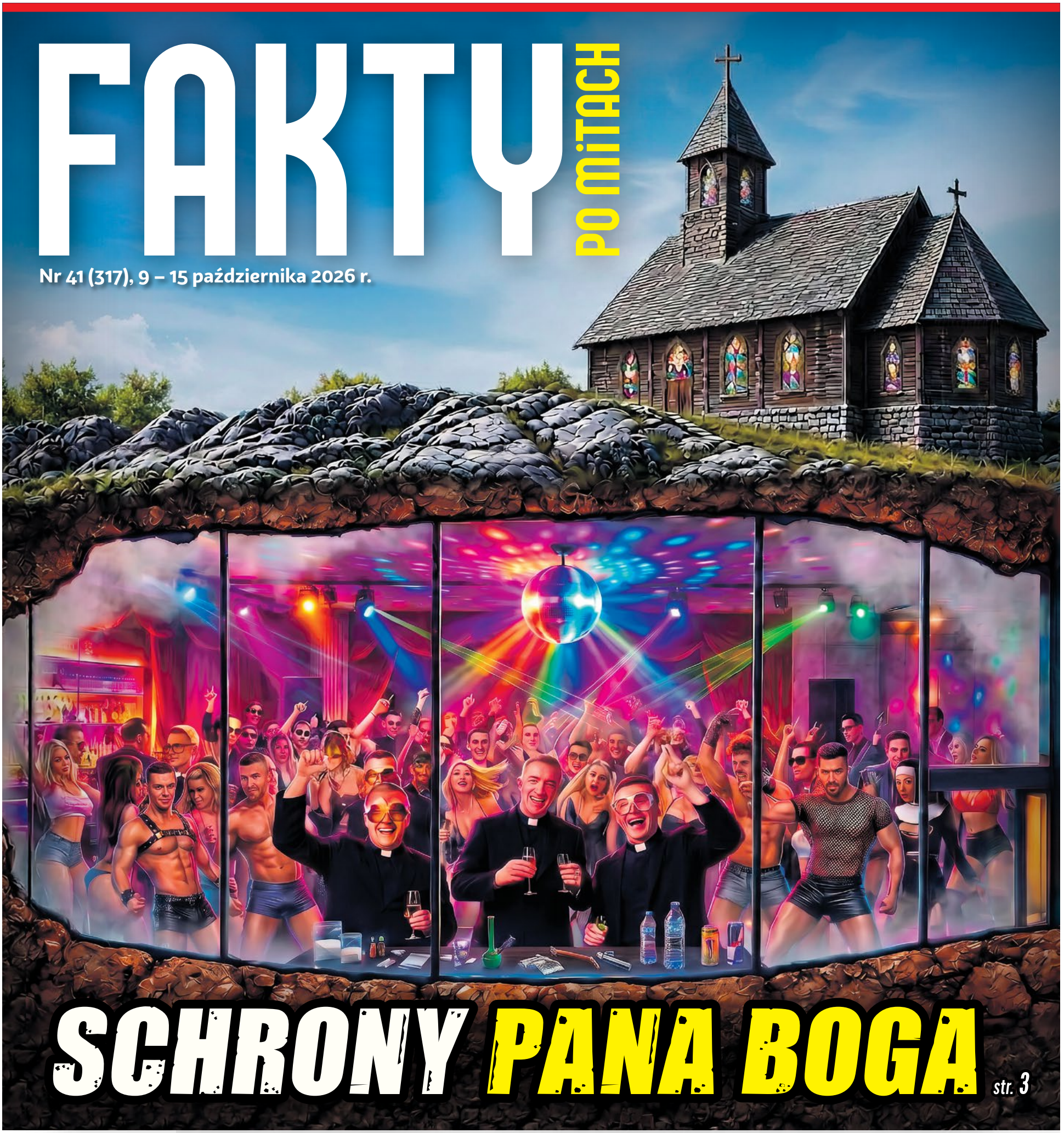
CO ŁASKA, ALE NIE MNIEJ...

str. 19

FAKTY PO MITACH

Nr 41 (317), 9 – 15 października 2026 r.



SCHRONY PANA BOGA

str. 3



W ŚWIECIE LALEK: Chodzili na koncerty ukraińskiej muzyki; spacerując nocami zdarzało im się krzyczeć w euforii „Sława Ukrainie!”... (Darek Cychol, str. 2)



LANDRYNKOWE SIDŁA: Ludzi Kościoła można poznać po uśmiechu. Niechybnie ćwiczą te przyklejone do twarzy ulepki... (prof. Joanna Hańderek, str. 7)

cena 11,99 zł (w tym 8% VAT) ISSN 2719-5309 INDEX 434000 tygodnikfaktypomitach faktypomitach.pl

eprasa.pl 245d7ac281

Akademia absurdu



W świecie lalek(2)

Spotkali się w kolejce do butelkomatu. On stał z butelkami po niegazowanej Nałęczowiance i puszkami po bezalkoholowej Coronie. Ona zdawała butelki po Muszyniance i puszki po Żywcu.

Nie było to przypadkowe spotkanie. Stanisław, rentier, który dorobił się pierwszych milionów okradając ojca żyjącego z tłuczenia kurczaków i mnożąc fortunę na giełdzie kryptowalut, od dawna podkochiwał się w pięknej Izabeli. Była studentką kulturoznawstwa, córką rozpitego nuworysza, który tracił w kasynach pieniądze ciężko zarobione w „szczękach" na Stadionie Dziesięciolecia przez jego ojca i babkę.

Warzywny ryneczek

Staszek wyciągał swoje butelki z plastikowej torby z tryzubem i hasłem „Слава Україні!", Iza z płóciennej, w barwach tęczy. Po oddaniu butelek oboje poszli w stronę stoiska z żywnością wegańską (on po hummus paprykowy i smalec z fasoli, ona po parówki z selera i wegański ser), warzywnego ryneczku, a potem do kas; samoobsługowych oczywiście. Po wielu tygodniach nieśmiałych prób, w końcu odważył się do niej odezwać, choć bał się, że brak wykształcenia przekłada się na jego ogładę. Kiedy przechodzili obok jego Mercedesa klasy G, rzucił, niby niedbale, zdanie zbudowane po dziesiątkach godzin studiowania ulicznego *savoir-vivre*:

– Co tam?

– Wporzo – odpowiedziała życzliwie, pochylając się, by odpiąć ze stojaka swój rower.

Taki był początek ich znajomości, namiętności, nieszczęśliwej miłości i walki o dominację w związku, który jej rodzinie miał pomóc wyjść na prostą, jemu zaś zapewnić awans społeczny do warstw, o życzliwości których marzył.

Spędzali ze sobą dużo czasu. Jadali falafele (kotleciki z ciecierzycy), tofucznicę (odpowiednik jajecznicy z tofu zamiast jajek), pijali *caffè latte* (oczywiście z mlekiem owsianym, a nie mlekiem krowim). Bywali na protestach w obronie sądów, konstytucji, prawa do aborcji, prawa Palestyńczyków do własnego państwa, przeciwko antysemityzmowi i za antysyjonizmem. Zbierali pieniądze na pomoc walczącej z Rosją Ukrainie, ciesząc się, jak ich starania wpływają na podniesienie stopy życiowej tych ich rówieśników, którzy schronili się w Polsce przed wojną. Pili z nimi wódkę w parkach; ciepłą, pożywną – dobrą, bo ukraińską. Chodzili na koncerty ukraińskiej muzyki; spacerując nocami zdarzało im się krzyczeć w euforii „Sława Ukrainie!". Czytali publikacje OKO.press, oglądali z ulicy budynki „Gazety Wyborczej" i TVN. Choć każde z nich walczyło z własnymi demonami, będącymi projekcją kompleksów ich środowisk społecznych – byli szczęśliwi.

Demony przeszłości

Dla Stanisława demonem przeszłości było wspomnienie domu rodzinnego. Wyrósł wśród podwarszawskich kurników. Wiedział o kurczakach wszystko: ile kilogramów antybiotyku wsypuje się na tonę karmy, czym zmywać z siebie ich smród, jak profesjonalnie rozebrać i poporcjować kurczaka zaledwie czterema ruchami noża. Mile wspominał te piękne chwile dzieciństwa. Sen z powiek spędzał mu tylko obraz ojca, któremu ukradł fortunę przeznaczoną na spłacenie cichych udziałowców kurników i ubojni – naczelniczki miejscowej skarbówki i komendanta powiatowego policji. Kiedy uciekał przed gniewem ojca, zabrał ze sobą zdolnego księgowego Ignasia Rzeckiego, który teraz prowadził mu sklep z drobiem na Ursynowie.

Wokulski miał świadomość, że Rzecki dla kogoś pracuje, bo mnóstwo czasu przeznaczał na pisanie czegoś. Niby miał to być blog, ale nie widział jego śladów w sieci. Najpewniej pisał donosy, gwarantując nimi Staszkowi bezkarność przed prokuraturą i ochronę przed siepaczami ojca. Skąd u Rzeckiego takie oddanie? Nie było dla Wokulskiego tajemnicą, że się w nim kochał. W ubojni ojca plotkowano, że „jest inny przez księdza". Zresztą... mieli kiedyś romans. Prawdziwy, wzniosły, pełen żaru i uczucia. Spacerowali razem, a kiedy nikt nie widział, całowali się i trzymali za ręce. Przez jakiś czas byli szczęśliwi, ale kiedyś Stach wyznał Ignacemu, że „potrzebuje przerwy". Potem pojawiła się Izabela...

Panna Łęcka nie wstydziła się pijaństwa ojca. Nie znała go innego. Całe życie mieszkała na Pradze, w domu, który dziadek wystawił w czasach świetności rodu, kiedy to, jeszcze jako małolat, handlował na Stadionie z ruskimi bronią, chowając ją przed policją w „szczękach" matki. Iza miała być pierwszą osobą w rodzinie z wyższym wykształceniem. Problem w tym, że ciągnęło ją do świata. Stąd zainteresowanie Ukraińcami i Palestyńczykami. Realizacja marzeń o podróżach poza Warszawę była obecnie dla jej rodziny zbyt dużym wyzwaniem finansowym. Dość powiedzieć, że jej weganizm nie całkiem był sprawą wyboru, a ojciec pił barwiony ukraiński samogon, tyle tylko, że z butelek po eleganckich trunkach. Rozwiązaniem jej problemów mógł być związek ze Staszkiem. Tylko po co jej pieniądze na studiowanie Ukraińców i Arabów, jeśli w badaniach miałby uczestniczyć jej mąż? Poza tym, jak wytłumaczyć znajomym – ekologom i weganom – fakt, że żyją z pieniędzy zarobionych na krzywdzie zwierząt?

Miłość i medycyna

Pewnego dnia ojciec Izabeli, mający przez swoje wielkopańskie maniery ksywę Hrabia, próbował się powiesić. Był w takim amoku, że konieczna była pomoc psychiatryczna, a ściślej mówiąc – pobyt w szpitalu. Chcąc uniknąć skandalu, Iza upierała się, by nie leżał w Warszawie przy ul. Sobieskiego ani w podwarszawskich Tworkach. Pomogły pieniądze Staszka i „Hrabia" wylądował w Choroszczy na Podlasiu. Jako że dziewczyna chciała być przez kilka dni blisko ojca, zrobili sobie romantyczny wyjazd do Łomży, zatrzymując się w Hotelu Polonez, słynącym z klimatycznych wnętrz oraz sprzętów i obsługi pamiętających czasy jego świetności, które przypadały na połowę lat 70. ub. wieku. Po odtruciu i chwilowym ustabilizowaniu „Hrabiego" jego stan znów się pogorszył. Krzyczał: „to nie moja wojna!", „tu jest Polska!", „Trzasku to pedał!", a na dodatek domagał się mięsa. Córka zdecydowała o bezterminowej hospitalizacji.

Po powrocie do Warszawy Stanisława czekała przykra niespodzianka: zniknął Ignacy, a razem z nim spora gotówka. Początkowo martwił się o niego, potem z wściekłości zaczął go szukać. Jeszcze później zrozumiał, że w jakimś stopniu kupił sobie wolność od starego kochanka i teraz nic ani nikt nie stoi na przeszkodzie jego szczęśliwego życia z Izabelą.

Mijały tygodnie, miesiące, a oni jedli roślinki, pili wódkę (ukraińską) z mlekiem owsianym i zbierali pieniądze dla walczącej Ukrainy. Pół roku po zniknięciu Ignacego zdecydowali o ślubie. Miał odbyć się w modnym kościele na warszawskiej starówce, o którym mówiło się, że służący w nich zakonnicy nie gwałcą dzieci.

„Jeśli ktokolwiek..."

W końcu nastał dzień spełnienia marzeń Stanisława. Kiedy „młodzi" złożyli sobie śluby wierności, 60-letni zakonnik o. Roman, który udzielał im ślubu, a który właśnie powrócił do Warszawy po kilkuletniej niezapowiedzianej nieobecności, wrzucił dla żartu formułkę znaną z Kościoła anglikańskiego: „Jeśli ktokolwiek zna powód, dla którego ta para nie może połączyć się świętym węzłem małżeńskim, niech przemówi teraz albo zamilknie na wieki". Wtem dał się słyszeć okrzyk z końca kościoła:

– Ja znam! – Do ołtarza spokojnie, z godnością zmierzała czterdziestokilkuletnia, elegancka kobieta. – Kochamy się ze Stanisławem – wyjaśniła.

– Kim pani jest?! – wykrzyczała wściekła Izabela.

– Nazywam się Iga Rzecka – odparła.

– Ignaś! – jęknął wyraźnie wzruszony zakonnik.

Jeśli znajdzie się chętny do ekranizacji mojej interpretacji „Lalki", służę ciągiem dalszym.

Darek Cychol

FAKTY bez mitów

Żadna partia tak malowniczo nie wycofuje się z własnych, niegdyś tak chwalonych, pomysłów, jak PiS. Podczas kongresu 3 października Jarosław Kaczyński w otoczeniu doradców zapowiadał dobrowolny KSeF dla małych firm (ciekawe, kto wprowadzał obowiązkowy) i częściowy powrót dawnych zasad naliczania składki zdrowotnej (zgadnijcie, przez kogo zmienionych). Dorzucił też coś o sprawiedliwym systemie podatkowym, ale tego w Polsce nie ma i pod rządami prawicy też nie będzie.

***

Na wokandę wraca sprawa Łukasza Sz., który pobił na śmierć strusia Zenka z Traperskiej Osady (woj. wielkopolskie) i został za to skazany na siedem lat więzienia. Wyrok, który obrońcom praw zwierząt dał nadzieję, że wreszcie te prawa będą w Polsce traktowane poważnie, został uchylony, bo wydał go neosędzia. Robert Grześ, o którym mowa, przepadł w tzw. teście niezawisłości i bezstronności, bo jego kariera ruszyła na serio dopiero pod rządami Ziobry – i nie jest to pierwsze jego orzeczenie, które zostaje podważone. Za powtórkę procesu zapłacą, oczywiście, obywatele.

***

11 osób zatrzymała Straż Graniczna i CBA w ramach śledztwa dotyczącego prywatnych uczelni wyższych – a konkretnie machlojek związanych z przyjmowaniem cudzoziemców na studia. Według śledczych, grupa działająca od 2017 do 2024 r. zarobiła ponad 23 mln zł na wystawianiu lewych zaświadczeń o przyjęciu na studia względnie o ich kontynuowaniu. Obcokrajowcy chętnie płacili – papiery pozwalały im z powodzeniem starać się o karty pobytu i dawały prawo do pracy.

***

Nerwowo zrobiło się w Krakowie po I turze przedterminowych wyborów prezydenckich. Nowa Lewica odmówiła oficjalnego poparcia kandydatki KO Moniki Piątkowskiej, zamiast tego wzywając wyborców, by dokonali wyboru według własnego uznania. Rywal Piątkowskiej, przedsiębiorca Łukasz Gibała pochwalił się, że sześciu krakowskich radnych KO zgłosiło się do niego z ofertą współpracy – ale będzie musiał odwołać te słowa, bo przegrał sprawę w sądzie w trybie wyborczym. Wśród przegranych najbardziej cieszy się Razem – Aleksandra Owca wyprzedziła rywalkę z Nowej Lewicy i zdobyła prawie ¼ głosów najmłodszych wyborców.

A.S.

eprasa.pl 245d7ac281

Schrony Pana Boga

Co roku państwo przeznacza miliardy złotych na utrzymanie Kościoła katolickiego. Wkrótce do biskupów popłyną kolejne przelewy.

10 marca 2026 r. ministrowie Władysław Kosiniak-Kamysz i Marcin Kierwiński spotkali się z biskupami w Sekretariacie Generalnym Konferencji Episkopatu Polski. Dygnitarze państwowi nie przyszli do dygnitarzy kościelnych jedynie po błogosławieństwo. W lakonicznym komunikacie zamieszczonym na stronie KEP napisano m.in., że przedmiotem rozmów były „kwestie dotyczące możliwego współdziałania państwa i Kościoła w zakresie pomocy ludności w wypadku klęsk żywiołowych, katastrof naturalnych i innych możliwych zagrożeń".

Wzmocnienie bezpieczeństwa

Natomiast w komunikacie przekazanym Polskiej Agencji Prasowej (PAP) przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji (MSWiA) poinformowano, że resort „chce współpracować z Kościołem w kwestii wzmocnienia bezpieczeństwa lokalnego". „Chodzi o organizowanie doraźnego wsparcia materialnego i wykorzystanie rozproszonej infrastruktury parafialnej, jako centrów dystrybucji pomocy lub miejsc schronienia w razie wystąpienia klęsk żywiołowych" – wyjaśniono.

W odpowiedzi na pytania portalu Fakty Plus strona kościelna stwierdziła (kwiecień 2026 r.), że „przy Konferencji Episkopatu Polski został powołany roboczy zespół ekspercki, którego zadaniem jest opracowanie systemowych rozwiązań dotyczących gotowości Kościoła na wypadek sytuacji kryzysowych i zagrożeń dla bezpieczeństwa. (...) Działania zespołu ekspertów będą miały charakter rutynowy i będą wpisywać się w standardowe obowiązki państwa w zakresie ochrony ludności i obrony cywilnej. Celem pracy jest stworzenie przejrzystych, skoordynowanych procedur, które w przypadku kryzysu pozwolą skutecznie wspierać obywateli".

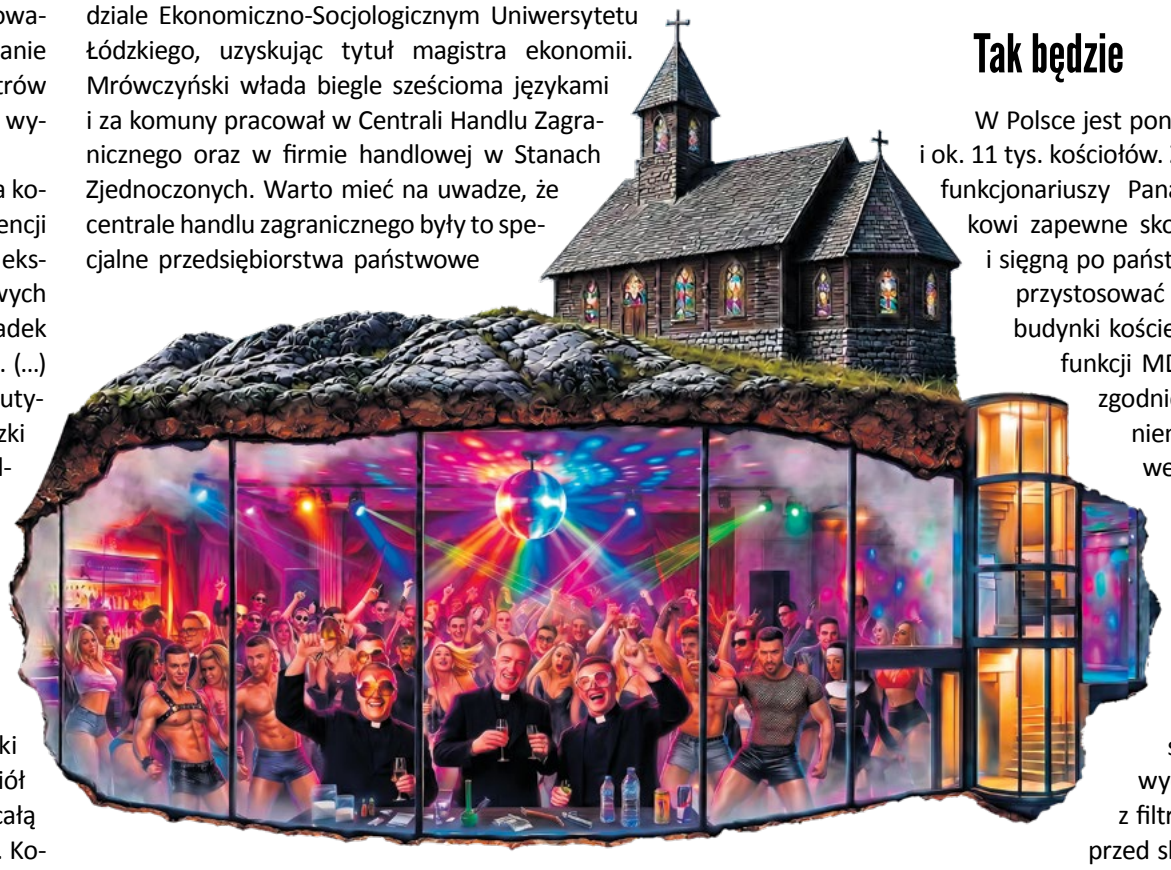
Ochrona kościelnych dóbr

Więcej konkretów zdradził wiceminister spraw wewnętrznych i administracji Wiesław Szczepański w rozmowie z Radiem ESKA. „Chcielibyśmy, aby Kościół uczestniczył również w kwestiach związanych z całą ochroną ludności. Chodzi m.in. o ochronę zabytków. Kościół ma w Polsce ponadtysiącletnią tradycję i jakby nie było to jest wiele obiektów sakralnych, wiele obrazów, wiele rzeźb, które są naszym dziedzictwem narodowym i w okresie wojny powinniśmy zabezpieczyć te zabytki. Dwa – to są kwestie pomocy humanitarnej. Trzy – to są kwestie uczestnictwa przy ewakuacji. Ale rzecz najważniejsza dzisiaj, największym problem w Polsce jest brak schronów. Większość kościołów posiada piwnice, które po modernizacji nadawałyby się, aby ludność mogła się tam schronić" – stwierdził Szczepański, który przez wiele lat reprezentował w Sejmie SLD, a w tej kadencji jest posłem Nowej Lewicy.

Odpowiedź wiceministra może szokować. Otóż rzekomo neutralne światopoglądowo państwo, w którym współrządzi lewica, kwestię pomocy obywatelom w stanach zagrożenia wojną zamierza scedować na Kościół kat. A zamiast ratować zabytki będące pod opieką państwa, lewicowiec Szczepański chce w pierwszej kolejności chronić dobytek Watykanu.

Z resortowej placówki do KEP

Ale to nie koniec ciekawostek. Otóż na czele kościelnego zespołu ekspertów, mającego opracować procedury obrony cywilnej, stanął *padre* Jarosław Mrówczyński, zastępca sekretarza generalnego KEP. Duchowny ten zanim przybrał sutannę, w 1986 r. skończył studia na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym Uniwersytetu Łódzkiego, uzyskując tytuł magistra ekonomii. Mrówczyński włada biegle sześcioma językami i za komuny pracował w Centrali Handlu Zagranicznego oraz w firmie handlowej w Stanach Zjednoczonych. Warto mieć na uwadze, że centrale handlu zagranicznego były to specjalne przedsiębiorstwa państwowe mające monopol na handel zagraniczny i ściśle kontrolowane przez władze PRL. Pracowali tam agenci bezpieki, lokowani byli funkcjonariuszu służb – wywiadu i kontrwywiadu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a także wywiadu i kontrwywiadu wojskowego. Według serwisu Vatican News, Mrówczyński, będąc w USA (czyżby na placówce handlowej?), brał udział w weekendach dla kandydatów do seminarium duchownego w tamtejszej diecezji, a po powrocie do Polski wstąpił do Warszawskiego Metropolitalnego Seminarium Duchownego. Zaś święcenia kapłańskie przyjął w maju 1995 r. z rąk prymasa Polski kard. Józefa Glempa, oskarżanego przez wrogie mu środowiska o współpracę z SB.



Cisza przed burzą

Od czasu spotkania dygnitarzy z biskupami minęło pół roku. W MON i MSWiA zapytałem czy zapadły już konkretne decyzje odnośnie współpracy państwa i Kościoła. Odpowiedziało tylko MSWiA, że „kontynuowane są prace nad praktycznymi rozwiązaniami służącymi współdziałaniu państwa i Kościoła katolickiego w zakresie pomocy ludności w sytuacjach kryzysowych". Czyli nic nie wiadomo...

W 2024 r. uchwalono ustawę o ochronie ludności i obronie cywilnej, zgodnie z którą mają powstać Miejsca Doraźnego Schronienia (MDS). Są to obiekty budowlane przystosowane do tymczasowego ukrycia ludzi w sytuacjach zagrożenia, takich jak wojna czy klęski żywiołowe. MDS mogą być organizowane w istniejących już budynkach lub ich częściach, czyli także w kościołach, domach parafialnych, domach katechetycznych i na plebaniach.

Zgodnie z art. 106 wspomnianej ustawy, państwo i samorządy „na wniosek właściciela lub zarządcy obiektu budowlanego" będą mogły przekazać pieniądze na budowę obiektów ochronnych, przebudowę budynków na obiekty ochronne, organizowanie miejsc doraźnego schronienia. Chodzi o gigantyczne środki. Tylko w latach 2027-2031 rząd zamierza przeznaczyć na obronę cywilną co najmniej 105 mld zł. Czyli do wydania będzie ponad 20 mld zł każdego roku.

Tak będzie

W Polsce jest ponad 10 tys. parafii i ok. 11 tys. kościołów. Znając pazerność funkcjonariuszy Pana Boga, sukienkowi zapewne skorzystają z okazji i sięgną po państwową forsę, aby przystosować świątynie i inne budynki kościelne do pełnienia funkcji MDS. Tyle tylko, że zgodnie z rozporządzeniem ministra spraw wewnętrznych i administracji, aby stworzyć MDS trzeba spełnić szereg wyśrubowanych warunków technicznych. Taki schron musi mieć wydajną wentylację z filtrami chroniącymi przed skażeniami, niezależne zapasy wody i nowoczesne systemy sanitarne czy konstrukcję wytrzymującą obciążenie co najmniej 10 kN/m². Mało tego! MDS powinny być też wyposażone „w rozwiązania zapewniające ochronę przebywających w nim osób przed bezpośrednim ostrzałem z broni małokalibrowej, działaniem odłamków amunicji oraz oderwanych elementów drzwi lub bram prowadzących do mds, w przypadku ich mechanicznego uszkodzenia i wpadnięcia do wnętrza mds na skutek wybuchu".

Jak wiadomo, kościelne gmachy zbudowane są na solidnych fundamentach, tylko dlaczego publiczne pieniądze mają iść na modernizację prywatnych obiektów, skoro państwo i samorządy posiadają infrastrukturę (np. obiekty sportowe, szkoły, dworce kolejowe i autobusowe), które można przystosować jako MDS. I jaką gwarancję da minister W. Szczepański wyborcom lewicy i wszystkim niewierzącym, że w razie wybuchu wojny proboszczowie nie zamkną przed nimi drzwi kościelnych schronów? Mamy do czynienia z gigantycznym skandalem i – najpewniej – przekrętem. Nie pierwszy to i pewnie nie ostatni raz, gdy funkcjonariusze Pana Boga żerują na majątku państwowym. Tym razem na szali jest też życie milionów ludzi. Ale przecież biskupom nie chodzi o ochronę owieczek, ale zabezpieczenie watykańskich dóbr.

Andrzej Sikorski

eprasa.pl 245d7ac281

WIARA CZYNI CZUBA

Niemcy: komputer proboszcza

Sąd Rejonowy w Waldbröl skazał 46-letniego księdza z Nadrenii Północnej-Westfalii na rok i dwa miesiące więzienia. Duchowny miał ponad 24 tysiące plików z pornografią dziecięcą.

Wśród znalezionych materiałów było ponad 3 tysiące. plików zdjęciowych i wideo z treściami pornografii dziecięcej i około 21 tysięcy plików z pornografią młodzieżową. Oskarżony przyznał się do winy, dlatego proces zakończył się stosunkowo szybko. Poza karą więzienia w zawieszeniu, ksiądz musi zapłacić 10 tysięcy euro na rzecz regionalnego ośrodka wsparcia dla ofiar przemocy seksualnej, psychicznej i fizycznej. Wyrok nie jest prawomocny – duchowny złożył już apelację. Kościół zapowiada swoje postępowanie i przekazanie jego wyników do Watykanu. 24 tysiące dowodów winy, a Watykan i tak musi bawić się w swoje „śledztwo".

Hiszpania: pedofil recydywista

Ponad dekadę temu sąd uniewinnił go z braku dowodów w sprawie molestowania trzech uczennic. Dziś ten sam 67-letni ksiądz z Serón de Nágima jest oskarżony o wykorzystywanie seksualne nieletniej.

Duchowny miał prosić dziewczynę o pokazanie piersi i za pośrednictwem WhatsAppa wysyłać do niej wiadomości o charakterze seksualnym. Sprawą zajęła się już prokuratura w Almazán. Przed laty ksiądz był oskarżony o wielokrotne molestowanie trzech uczennic, a prokuratura domagała się dla niego ośmiu lat więzienia. Został uniewinniony z powodu braku wystarczających dowodów. Teraz diecezja Osma-Soria zawiesiła duchownego w posłudze, zakazała mu kontaktu z pokrzywdzoną. Zaapelowała też o niewydawanie przedwczesnych wyroków i poszanowanie domniemania niewinności swojego kapłana. Wygląda więc na to, że w Kościele dawne uniewinnienie może działać jak abonament na niewinność.

Ghana: idealny duszpasterz

Zamiast zbierać datki... zaczął produkować własne pieniądze. Pastor Emmanuel Boakye-Danquah jest poszukiwany w związku z fałszerstwem.

Podczas operacji w Klagon śledczy odkryli, że pomieszczenia administracyjne i mieszkalne organizacji religijnej Międzynarodowe Duszpasterstwo Świętego Ognia Ducha służyły do produkcji i przechowywania podrobionych pieniędzy. Zabezpieczono drukarkę oraz dwa samochody, a także materiały o deklarowanej wartości 5,29 mln dolarów, 623,5 mln franków i 7,13 mln cedi, przeznaczone do dalszego drukowania. W całej operacji zatrzymano 16 osób i przejęto cztery maszyny drukarskie. Pastor Emmanuel Boakye-Danquah pozostaje na wolności. Duchowny najwyraźniej bardzo dosłownie potraktował biblijne przekazy... o pomnażaniu.

USA: krew Świadków Jehowy

Ciało Kierownicze Świadków Jehowy złagodziło obowiązujący od 1945 r. zakaz transfuzji krwi. Rodziny tych, którzy przez ten zakaz umarli, pytają, dlaczego dopiero teraz.

Po przełomowej decyzji z marca br., gdy organizacja pozwoliła swoim wyznawcom na pobieranie i przechowywanie własnej krwi przed zabiegami, przyszedł czas na temat transfuzji krwi. Przez lata odmowa jej przyjęcia była dla niektórych świadków decyzją o życiu lub śmierci. Teraz ciało kierownicze mówi, że przyjęcie jej głównych składników jest osobistą decyzją. Świadkom nadal nie wolno jednak przyjmować krwi pełnej, czyli przetaczanej w całości. Decyzja ta nie została przyjęta z entuzjazmem. „(...) Dlaczego ktoś, kto wcześniej był gotów za tę zasadę umrzeć, może przyjąć zmianę i... nadal wierzyć?" – pytają w mediach społecznościowych rozgoryczeni świadkowie. Według przeglądu medycznego „PubMed Central", od 2016 r. rocznie umierało około tysiąc osób, które ze względu na wiarę odmówiły przetoczenia krwi.



fot. Archidiecezja warszawska

Słowenia: cisza w sprawie Rupnika

Pięć ofiar księdza Marko Ivana Rupnika wystosowało list otwarty do papieża Leona XIV, w którym błagają o przyspieszenie trwającego już blisko rok utajnionego procesu kościelnego drapieżnika w sutannie.

Według pokrzywdzonych przez jezuitę kobiet, brak transparentności i przeciągający się proces to przekaz „(...) że nie warto zgłaszać nadużyć władzom kościelnym, bo i tak nic się nie dzieje i nikt nie ponosie odpowiedzialności" – napisały ofiary. Twierdzą, że nie tylko nie otrzymały żadnych informacji o przebiegu procesu, ale i nie mogły złożyć zeznań. Rupnik, którego mozaiki zdobią około 200 kościołów na świecie, jest oskarżony przez ponad 20 kobiet, głównie byłych zakonnic, o przemoc seksualną i psychiczną. Watykańska dykasteria doktrynalna ogłosiła rozpoczęcie jego procesu w październiku 2025 r. Od tego czasu nie nie podała żadnych informacji o przebiegu sprawy. Niedawno Watykan dementował tylko doniesienia o tym, jakoby zapadła już jakaś decyzja. Jak na Kościół to i tak sporo.

Francja: kropla w morzu

Niezależny organ ds. odszkodowań dla ofiar nadużyć w Kościele (INIRR) kończy pięcioletnią misję. Choć raport z 2021 r. szacował liczbę skrzywdzonych w Kościele dzieci na 330 tysięcy, z roszczeniem zgłosiło się „jedynie" około 2 tysiące osób.

Po dwuipółletnim śledztwie niezależna komisja CIASE – kierowana przez Jean-Marca Sauvé – w liczącym 2,5 tysiąca stron raporcie, wykazała, że od 1950 r. we francuskim Kościele dochodziło do wykorzystywania seksualnego średnio 13 dzieci dziennie! Sami duchowni skrzywdzili ok. 216 tysięcy małoletnich, a licząc też świeckich pracowników Kościoła, liczba ofiar przekroczyła 330 tysięcy. INIRR wydał dotąd 1 184 decyzje przyznające odszkodowania ze średnią wypłatą 36 892 euro.

Nigeria: mord w kościele

11-letnia dziewczynka wyszła z domu na urodziny krewnego i już nie wróciła. Jej ciało znaleziono w studni na terenie kościoła. Zatrzymano kościelnego ochroniarza.

W kościele miał pilnować bezpieczeństwa. Według śledczych, sam był zagrożeniem. 26-letni Godwin Dauda pracował jako ochroniarz w Apostolic Church Suleja. Z ustaleń policji wynika, że zwabił 11-letnią Christabel Albert do pomieszczenia ochrony, gdzie wykorzystał ją seksualnie. Kiedy zorientował się, że dziecko nie żyje, przestraszył się i wrzucił ciało do studni, żeby ukryć zbrodnię. Następnie uciekł i ukrył się. Został zatrzymany w Kuje. Podczas przesłuchania miał przyznać się do zbrodni. Niezależne śledztwa w wielu krajach pokazały już, że problem wykorzystywania seksualnego w kościołach nie kończy się na duchownych. Czasem sutannę wystarczy zastąpić identyfikatorem kościelnego pracownika.

Włochy: wypędzanie demona

Prokuratura w Lecce prowadzi śledztwo przeciwko 69-letniemu księdzu z diecezji Ugento-Santa Maria di Leuca. Duchowny jest oskarżony o wykorzystanie seksualne nastolatka w spektrum autyzmu.

W 2025 r. ksiądz przekonał 17-letniego chłopca, że jest opętany, po czym pod pretekstem wypędzenia demona dopuścił się wobec niego napaści seksualnej. Do pierwszego incydentu doszło w zakrystii. Ksiądz kazał mu milczeć, tłumacząc, że to, co się stało, objęte jest „tajemnicą spowiedzi". Za drugim razem – w łazience przy zakrystii – chłopiec usłyszał, by wracał „gdyby znów potrzebował jego pomocy". Proceder ujawniła matka chłopca, a policja urządziła pułapkę. Przesłuchiwany przez sędziego duchowny zaprzeczył wszystkiemu i przekonywał, że to chłopak wielokrotnie groził samobójstwem z powodu „opętania przez demona". A on tylko zaproponował mu „specjalne błogosławieństwo na całym ciele".

eprasa.pl 245d7ac281

POLETKO PANA B.©

ŁASKA WYLECZENIA

Ksiądz Adrian Mantykiewicz z Jarosławia, który został ranny w wyniku ataku obywatela Ukrainy Ihora M. – przypomnijmy, od ciosów nożem zginął ks. Stanisław Zbojnowicz, a cztery osoby są ranne – wygłosił homilię, w której wybaczył „oprawcy”, jak go nazwał, i wezwał do modlitwy o łaskę nawrócenia dla niego. Zaapelował również, by nie obarczać wszystkich Ukraińców winą za tę zbrodnię. Słowa ks. Adriana obiegły media, politycy i publicyści mówią o „historycznym przemówieniu”. Rzeczywiście, bardzo to było szlachetne oraz ewangeliczne i może faktycznie przyczyni się do uspokojenia nastrojów, zanim dojdzie do aktów odwetu (twarda prawica już się domaga deportacji na wielką skalę, a jej wyznawcy czekają tylko na okazję, żeby komuś przyłożyć bejsbolem). Ale, skoro biegli psychiatrzy stwierdzili u Ihora M. „objawy choroby psychicznej pod postacią ostrych, wielopostaciowych zaburzeń psychotycznych”, to nie o łaskę nawrócenia należy się modlić, tylko o łaskę wyleczenia. Z kolei na pogrzebie ks. Zbojnowicza bp Stanisław Jamrozek ogłosił, że zmarły „dołączył do grona męczenników za wiarę”, ponieważ zginął po wyjściu z konfesjonału. Tylko czy sprawca był świadom, w kogo uderza?

GOŁY W KOŚCIELE

Wyobrażacie sobie, jaki byłby jazgot, gdyby znany nieprawicowy dziennikarz pojawił się w kościele półnagi i naćpany? Albo gdyby dokonał tego polityk koalicji 15 października? Ileż byłoby głosów oburzenia, doniesień do prokuratury o zakłóceniu mszy i obrazie uczuć religijnych, komentarzy o walce z chrześcijaństwem na zlecenie marksistowskiej Brukseli! Gdy jednak opisanego czynu dopuścił się w stołecznym kościele św. Stanisława Kostki związany z TV Republika Marcin Dobski, minęło to prawie bez echa. Może dlatego, że – jak informuje „Polityka” – Dobski wraz z kolegą z pracy Sławomirem Jastrzębowskim za kasę z Zondy podjęli się „wyciszenia” Michała Fui z TVN24, który badał aferę Zondacrypto. Dobskiemu przypadło zadanie dyskredytowania Fui w mediach społecznościowych. Może ta brudna robota tak mu ciążyła na sumieniu, że – według policji – „rozebrał się w świątyni, był pobudzony i agresywny oraz wspominał o zażyciu kokainy”. Sam Dobski, nieodrodny syn polskiej katoprawicy, nie przyznaje się do winy. Podkreśla, że zdjął tylko koszulkę, gdyż „walczy z chorobą i demonami”. No i jak mu nie współczuć.

MECZETU NIE BĘDZIE

Przeciwnicy Łukasza Gibały, zwycięzcy I tury wyborów prezydenckich w Krakowie, z lubością wypominają mu przeszłość w Ruchu Palikota. Ma to zniechęcić do Gibały pisowców i konfederatów. Przepytywany przez dziennikarzy pan Łukasz lawiruje: zapewnia, że zgodnie z prawem będzie dokonywał transkrypcji aktów małżeństw jednopłciowych zawartych w UE, ale w paradzie równości nie weźmie udziału, ponieważ „jest zbyt upartyjniona”. Pytany o wynajem lokali miejskich dla społeczności muzułmańskiej, Gibała odpowiedział, że szanuje każdą religię, jednak uważa, iż miasto nie powinno wynajmować przestrzeni kościołom, w tym także Kościołowi katolickiemu. Jego zdaniem, samorząd powinien być neutralny. Słuszna zasada, tyle że akurat w Krakowie Kościół nie musi „wynajmować przestrzeni” od nikogo. Posiada 360 świątyń, bezcenne zabytki i dzieła sztuki, uczelnie, szkoły, domy opieki, Caritas, wydawnictwa, dziesiątki kamienic czynszowych wynajmowanych pod sklepy, restauracje, hotele czy biura; ponad 350 ha gruntów, w tym atrakcyjne działki inwestycyjne. Czy można go traktować na równi z kilkoma tysiącami krakowskich muzułmanów?



GROSZOWY PROTEST

Biskup legnicki Andrzej Siemieniewski odsunął od kierowania parafią w Krzeszowie ks. Łukasza Langenfelda i wyznaczył administratora. Langenfeldowi nie wolno nawet odprawiać mszy w sanktuarium diecezjalnym. Czym się naraził? Zdaniem kurii, odpowiada za nielegalne składowanie odpadów na terenie należącym do parafii – relacjonuje portal tuLegnica („FpM” 37/26). Według parafian, nielegalne wysypisko działało, zanim ks. Langenfeld został proboszczem, a gdy nim został, zawiadomił prokuraturę i inspekcję ochrony środowiska. On sam utrzymuje, że kuria wiedziała o problemie. Mimo to delegacja wiernych usłyszała od biskupa, że klamka zapadła: ks. Langenfeld nie wróci do Krzeszowa, nie będzie też mógł odprawiać mszy w sanktuarium. Został kozłem ofiarnym w „aferze śmieciowej”. Wzburzeni tym parafianie znaleźli nietypowy sposób protestu: na każdej mszy wrzucają na tacę po pięć groszy. Grosze brzęczą, kasa parafii pustoszeje. Ciekawe, kto pierwszy pęknie.

ŚWIĘTOŚĆ MAŁŻEŃSTWA

W „Debacie dnia” w Polsat News Agnieszka Gozdyra skrytykowała prezydenckie weto do ustawy o łatwiejszych rozwodach dla ludzi, którzy nie mają dzieci. Temat od razu rozgrzał polityków katoprawicy, którzy mają gotowe recepty ideologiczne na wszystko. Kiedy decyzji Nawrockiego zaczął bronić Marek Subocz z PiS, wkurzyła się Gozdyra, z emocji myląc „łatkę” z „szatkami”: „Macie państwo w partii wielokrotnych rozwodników i to z dziećmi, więc przestańcie się państwo ubierać w łatkę tych, którzy tak pilnują świętości małżeństwa. Uczcie najpierw własnym życiem, przepraszam bardzo. Nie chcę, żeby tu przychodzili politycy prawicy, którzy będą opowiadali ludziom, jak żyć”. Sytuację próbowała załagodzić Marzena Machałek z Rozwoju Plus: „No dobrze, ale przecież nie zostały zakazane rozwody”. „Rozwody nie zostały zakazane. Proszę państwa, odetchnijcie z ulgą!” – zakpiła prowadząca program. Jak w starym dowcipie o Stalinie: a mógł zabić…

SODOMA I GOMORA

GIZELA JAGIELSKA ZŁOŻYŁA OFERTĘ DO SZPITALA NA BROCHOWIE!” – alarmuje fundacja Życie i Rodzina. „Jeśli znana aborterka przyjdzie na Brochów, będzie miała dostęp do bardzo wielu dzieci, bo szpital im. A. Falkiewicza ma największą porodówkę na całym Dolnym Śląsku. Co to oznacza dla dzieci w łonach matek? Bardzo poważne zagrożenie aborcją. Brochów może stać się prawdziwą rzeźnią!”. Pod szpitalem stanął namiot prolajferów, ciężarne pacjentki są nagabywane i straszone, że czyha na nie gotowa do zbrodni „aborterka”. Do nagonki dołączył Maciej Rajfur, świecki rzecznik biskupa wrocławskiego i dziennikarz „Gościa Niedzielnego”. W wywiadzie z dyrektorką brochowskiego szpitala Magdaleną Puziewicz-Karpiak utrzymywał, że po zatrudnieniu Jagielskiej część personelu odmówi współpracy z nią albo wręcz rzuci robotę. Mimo to lekarka dostała pracę, a jej mąż pokieruje oddziałem ginekologii i patologii ciąży. Naszym zdaniem, działalność Kai Godek i jej ludzi w tej sprawie wyczerpuje znamiona przestępstwa stalkingu (kara od sześciu miesięcy do ośmiu lat więzienia).

NA RATUNEK DZIECIOM

Przemysław Czarnek, w którego przyszłe premierostwo nie wierzy już nawet PiS, sflekował nowe zasady żywienia w szkolnych i przedszkolnych stołówkach (mięso dwa razy w tygodniu, ryba raz, raz posiłek z nasionami roślin strączkowych; mniej cukru). Nazwał je „szkodliwą ideologią klimatyczną”, przez którą dzieci chodzą głodne. Prawdziwy Polak katolik z rozkoszą szkodzi klimatowi, a każda wzmianka o planecie doprowadza go do szału. Czarnek szydzi więc z „diety planetarnej”, choć kiedy był ministrem edukacji, promowało ją pisowskie Narodowe Centrum Edukacji Żywieniowej. Dziś wszystko jest polityką, nawet kotlet – z ciecierzycy czy schabowy. Na szczęście sam Czarnek nie wygląda na głodnego.

eprasa.pl 245d7ac281

Pamięć apostołów

Chrześcijaństwo opiera się na przekonaniu, że żyjący 2000 lat temu Jezus z Nazaretu był Synem Bożym, który z miłości do ludzi złożył ofiarę swego życia. Tę oryginalną koncepcję wymyślił Szaweł z Tarsu – nazwany później św. Pawłem – który osobiście nie znał Jezusa, ale słyszał o nim wiele legend.

Idea Boga kochającego ludzi okazała się tak atrakcyjna, że dzisiaj wierzy w nią ponad 2,5 mld mieszkańców Ziemi. Są przekonani o jej prawdziwości, gdyż wiedzą, że ewangelie, księgi poświęcone życiu galilejskiego mesjasza, zostały spisane na podstawie relacji najbardziej wiarygodnych świadków – jego najbliższych uczniów. Jest to klasyczna dla tej religii półprawda, która w efekcie przeradza się w wielkie kłamstwo. Rzeczywiście, podstawowym źródłem dla autorów ewangelii był Szymon Rybak (św. Piotr), a w wypadku Ewangelii Jana także Łazarz, „uczeń, którego miłował Jezus" (J 21,20). Jest też prawdopodobne, że ewangeliści Mateusz i Łukasz dotarli do innych apostołów, którzy uzupełnili ich relacje o pojedyncze szczegóły, ale nie zmienia to powyższej prawdy o generalnie sfałszowanym obrazie wydarzeń.

Wygodne wspomnienia

Sytuacja, która do tego doprowadziła, jest wskazana w mało zauważanym, ale w mojej ocenie najważniejszym cytacie ewangelicznym. Mówi on: „Z początku Jego uczniowie tego nie rozumieli. Ale gdy Jezus został uwielbiony, wówczas przypomnieli sobie, że to o Nim było napisane i że tak Mu uczynili" (J 12,16). Każdy badacz, który analizuje księgi Nowego Testamentu, powinien zacząć od uświadomienia sobie wagi tych słów. Właśnie dzięki nim mamy pewność, że ewangelie powstały już pod dominującym wpływem wizji Pawła – „gdy został uwielbiony" – i zostały napisane, aby potwierdzić jego mesjańską koncepcję, a nie aby odtworzyć rzeczywisty przebieg zdarzeń.

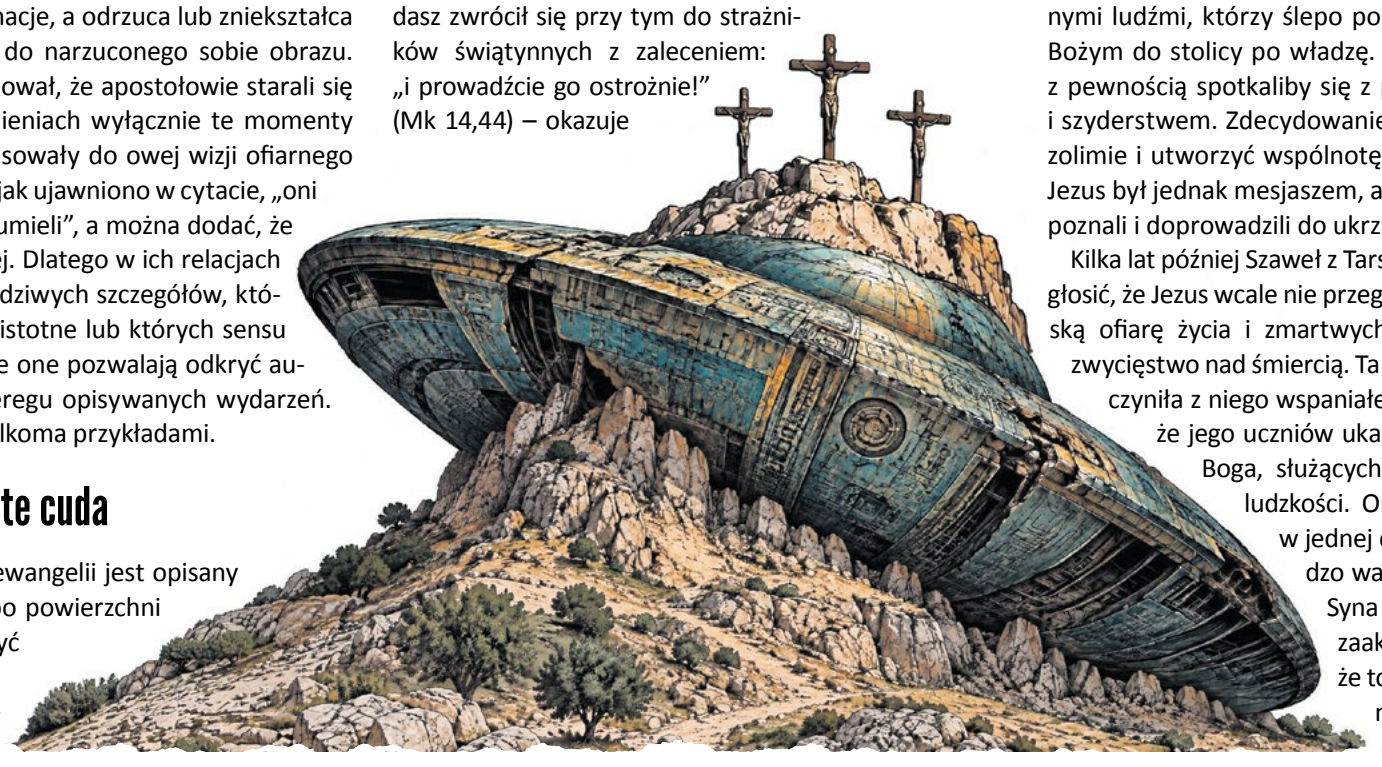
Zadziałało tu doskonale znane w psychologii zjawisko pamięci wybiórczej (selektywnej), gdy mózg przechowuje tylko wybrane informacje, a odrzuca lub zniekształca pozostałe, niepasujące do narzuconego sobie obrazu. Taki mechanizm zdecydował, że apostołowie starali się przywołać we wspomnieniach wyłącznie te momenty z życia Jezusa, które pasowały do owej wizji ofiarnego mesjasza. Na szczęście, jak ujawniono w cytacie, „oni z początku tego nie rozumieli", a można dodać, że i później niewiele więcej. Dlatego w ich relacjach znalazło się sporo prawdziwych szczegółów, które wydawały się im nieistotne lub których sensu nie pojmowali. I właśnie one pozwalają odkryć autentyczną wymowę szeregu opisywanych wydarzeń. Można to zilustrować kilkoma przykładami.

Mgliste cuda

W trzech z czterech ewangelii jest opisany cud chodzenia Jezusa po powierzchni jeziora. Miał on się odbyć na oczach wszystkich apostołów, ale Ewangelista Marek zanotował, że stało się to w porze „czwartej straży nocnej" (Mk 6,48), czyli od ok. godz. 3, a więc w ciemnościach lub w najlepszym wypadku w szarówce i tumanach przedporannej mgły. Staje się oczywiste, że w tej sytuacji uczniowie raczej niewiele widzieli. Ponadto Ewangelista Jan dodał, że łódź, którą płynęli, „znalazła się natychmiast przy brzegu, do którego zdążali" (J 6, 21), co chyba dostatecznie wyjaśnia mechanizm owego „cudu".

Inny przykład dotyczy Ostatniej Wieczerzy. W jej trakcie Jezus oznajmił, że jeden z uczniów wyda go wrogom, co jest traktowane jako jego wielkie proroctwo. Jednak ewangelie są tu dosyć szczegółowe i podają, że po tych słowach apostołowie nie zerwali się z okrzykiem: wskaż go, a my zaraz się z nim policzymy! lecz „zaczęli się smucić i pytać jeden po drugim: Czyżbym ja?" (Mk 14, 19). Wynika z tego, iż oni dobrze wiedzieli, że jest to polecenie, a nie proroctwo i tylko zastanawiali się, komu Jezus powierzy zadanie udawania zdrajcy. W tym czasie był on już skazany na śmierć i bardzo chciał skorzystać z paschalnej tradycji ułaskawiania jednego więźnia. Zależało mu, aby aresztowano go jeszcze tej nocy, więc wskazał swego najbardziej zaufanego ucznia Judasza i nawet go przynaglił: „Co chcesz czynić, czyń prędzej!" (J 13, 27).

Niedługo później Judasz przyprowadził do ogrodu Getsemani strażników świątynnych i pocałunkiem wskazał kogo mają aresztować. To wręcz absurdalne zachowanie „zdrajcy" jest traktowane jako dowód jego obłudy. W rzeczywistości musiał on przekazać Jezusowi informację, że strażnicy nie wykonają na nim wyroku śmierci, ale mają rozkaz odprowadzić go do arcykapłanów. Wcale nie całował, lecz wyszeptał mu do ucha tę najważniejszą wiadomość. Właśnie dlatego Jezus natychmiast powstrzymał rozpoczynającą się bójkę i bez żadnego oporu dał się aresztować. Ewangelista Marek odnotował, iż Judasz zwrócił się przy tym do strażników świątynnych z zaleceniem: „i prowadźcie go ostrożnie!" (Mk 14,44) – okazuje się, że „zdrajca" do ostatniej chwili dbał, aby jego mistrzowi nic złego się nie stało.



Inne charakterystyczne zdarzenie zostało opisane w rozdziale zatytułowanym „Przemienienie pańskie". Z jego treści wynika, że Jezus odbył na górze Tabor tajne spotkanie z dwoma współspiskowcami, bogatymi członkami Sanhedrynu, Józefem z Arymatei i Nikodemem. Celem rozmowy było ustalenie scenariusza wkroczenia galilejskiego mesjasza do Świątyni, zdominowania arcykapłanów i przejęcia władzy nad przybytkiem. Natomiast niewiarygodna naiwność apostołów Piotra, Jakuba i Jana, świadków tego zdarzenia, spowodowała, że czytelnicy dostali opis rzekomego spotkania z przybyłymi z nieba prorokami Mojżeszem i Eliaszem, z którymi Jezus rozmawiał o „odejściu, którego miał dopełnić w Jerozolimie" (Łk 9, 31). Relacja jest na tyle absurdalna, że na pytania, jak uczniowie rozpoznali imiona proroków oraz po co Syn Boży spotykał się z postaciami z nieba, chyba nie warto szukać odpowiedzi. Zwłaszcza że charakter tej narady został ujawniony w odnotowanym poleceniu Jezusa dla uczniów, „aby nikomu nie rozpowiadali o tym, co widzieli" (Mk 9, 9) – spiskuje się zawsze w konspiracji.

Osierocona nadzieja

Podobnych przypadków można odnaleźć w ewangeliach znacznie więcej i wszystkie one dowodzą, że na bazie faktycznych wydarzeń stworzono coś w rodzaju baśni fantasy. Powstaje jednak pytanie, dlaczego apostołowie brnęli w tę sfałszowaną opowieść, czy nie było wśród nich nikogo uczciwego?

Trzeba więc powiedzieć, że po śmierci swego mistrza znaleźli się w bardzo trudnej sytuacji. Jezus zdecydowanie górował nad nimi intelektem oraz siłą charakteru. Byli nim głęboko zauroczeni i całkowicie ulegli, podobnie jak członkowie dzisiejszych sekt wobec swego guru. Ponadto szczerze wierzyli, że jest mesjaszem i wiedzieli, że zgodnie z zapisami w Biblii, należy mu się tron w Jerozolimie. On sam wielokrotnie o tym mówił, a także im obiecywał bogactwa oraz że będą „sądzić dwanaście plemion Izraela" (Mt 19,28). Z utęsknieniem na to czekali i wypytywali go: „Powiedz nam, kiedy to nastąpi" (Mt 24,3).

Jego tragiczna śmierć była jednocześnie klęską ich wielkich nadziei. Ponadto w oczach swych bliskich, znajomych, sąsiadów okazywali się obecnie skrajnie naiwnymi ludźmi, którzy ślepo poszli za fałszywym Synem Bożym do stolicy po władzę. Gdyby wrócili do Galilei, z pewnością spotkaliby się z powszechnymi drwinami i szyderstwem. Zdecydowanie woleli pozostać w Jerozolimie i utworzyć wspólnotę, która uparcie głosiła, iż Jezus był jednak mesjaszem, ale arcykapłani go nie rozpoznali i doprowadzili do ukrzyżowania.

Kilka lat później Szaweł z Tarsu niespodziewanie zaczął głosić, że Jezus wcale nie przegrał, ale składając męczeńską ofiarę życia i zmartwychwstając, odniósł wielkie zwycięstwo nad śmiercią. Ta niezwykła idea ponownie czyniła z niego wspaniałego Króla Niebios, ale także jego uczniów ukazywała jako pomocników Boga, służących mu w dziele zbawienia ludzkości. Oni, dotychczas przegrani, w jednej chwili awansowali do bardzo ważnych postaci w drużynie Syna Bożego. Mieliby tego nie zaakceptować tylko dlatego, że to nieprawda? Aż tak naiwni, to oni nie byli.

Sławomir Sadowski

eprasa.pl 245d7ac281

Landrynkowe sidła



Ludzi Kościoła można poznać po uśmiechu. Niechybnie ćwiczą te przyklejone do twarzy ulepki, by korespondowały z łagodnym spojrzeniem i głosem zalanym miodem.

Numer 1 to uśmiech pełen słodyczy. Numer 2 jest uśmiechem pełnym zrozumienia i wybaczenia. Człowiek może poczuć, że wprawdzie grzeszy, ale wybacza się jemu maluczkiemu, bo nie wie, co czyni. Numer 3 to uśmiech nawracający i korygujący. Taki z lekkim „wężykiem"; łagodnym wygięciem i czujnym spojrzeniem. Ma on przekazać dezaprobatę, ale ciągle pełną miłości. Uśmiech numer 4 rozbłyskuje, gdy jedyne co pozostaje to pogarda wobec zatwardziałego grzesznika.

Opisane uśmiechy nie są charakterystyczne tylko dla katolickiej propagandy. Wystający na ulicach głosiciele Armagedonu i jedynej prawdy o Jehowie też zioną miłością i uśmiechem numer jeden. Biegający z bębenkami i wyśpiewujący Hare Kriszna też pełni są – rzecz jasna – radości i uśmiechu numer jeden.

Kod bezpieczeństwa

Człowiek musi czuć spokój, ciepło, bezpieczeństwo. Gdy mózg zrozumie, że nic nam nie grozi, wówczas możemy się zrelaksować. Rezygnując z trybu czuwania narażamy się jednak na atak. Gdy mózg czuwa, wówczas łatwiej zareagować na agresję. Najgorzej jest, kiedy niczego złego się nie spodziewamy i zaczynamy ufać napastnikowi. (Podejść wojów przed bitwą, gdy jeszcze śpią, jest najpewniejszym sposobem wygranej).

Religie cieszą się szczególnym powodzeniem podczas kryzysów. Niepewność w wymiarze egzystencjalnym, społecznym, politycznym czy państwowym będzie wywoływać strach, poczucie wykorzenienia, potrzebę schronienia. Ucieczka przed problemami może naruszać logiczny system myślenia człowieka, o czym wie każdy dobry socjotechnik. Dlatego słodki uśmiech ma od razu stać się drogowskazem dla skołatanego umysłu.



Nasze mózgi mają zakodowane pewne reakcje, dlatego pozory, w tym wygląd, są dla nas takie ważne. Nim zaczniemy rozmawiać, musimy ocenić czy jest bezpiecznie. Do tej ewolucyjnej zasady doszła kultura, pogłębiając pewne sygnały i bodźce. Dlaczego wyciągamy rękę na powitanie? To sygnał: moja ręka nie jest uzbrojona, mam pokojowe zamiary. Tak to właśnie działa podprogowo, dlatego ostentacyjne niepodawanie ręki będzie dla nas nie tylko upokarzające, ale poczujemy się niepewnie; ostracyzm stanie się stanem zagrożenia. To samo dzieje się z uśmiechem.

Miłość z kolan

Religie zagospodarowały ludzki strach przed rzeczywistością. Modlitwa wobec cierpienia, śmierci, nadchodzącej groźby, w chwili wybuchu wojny czy w momencie traumy – to próba zaczarowania rzeczywistości. Kapłani to spryciarze oferujący polisy ubezpieczeniowe i wieczną szczęśliwość. Rzecz jasna po śmierci. Aby jednak sprzedać taką niedorzeczność, potrzebna jest im doskonała socjotechnika. I to ona zrodziła cały ten teatr miłości, łagodności, słodyczy, zawierający się w wyuczonym, nieszczerym uśmiechu.

Złośliwi religianci uwielbiają wmawiać ateistom, że „jak trwoga to do boga", mrugając przy tym okiem i czekając, kiedy okropny odmieniec się złamie, przestanie mówić o racjonalności oraz padnie na kolana. Niejeden przejaw niedotlenienia mózgu tuż przed śmiercią interpretowany był skwapliwie jako nawrócenie. W ten sposób osoby wierzące potwierdzają tylko swoje omamienie fałszywym poczuciem bezpieczeństwa. Założenie, że ateista padnie na kolana w chwili „próby" ukazuje, co trzyma w wierze osoby na kolanach: strach przed cierpieniem, chorobą, śmiercią, ale przede wszystkim przed samotnością. Zatapiając człowieka w landrynkowym uśmiechu, religie oferują mu grupę wsparcia. W kościele, bóżnicy, meczecie czy innym miejscu kultu, ludzie zbierają się po to, by się wzajemnie kontrolować i scalać wspólnotę.

Pod słodyczą kryją się manipulacja, pranie mózgu, łamanie osobowości oraz zmuszanie, by pracować i płacić na swój Kościół, czyli na jego włodarzy. Żeby człowiek nie mógł się połapać, że nie tylko stał się spłuczką dla odrealnionych idei, ale i bankomatem dla kleru, potrzebne są środki wzmacniające zaćmienie umysłowe. A jak się ktoś wyłamuje, to kler potrafi walnąć uśmiechem numer cztery. Pogardą wszak podszyci są od dawna, bo wiedzą przecież, co robią i z czego żyją.

prof. Joanna Hańderek

Ksiądz wraca za kraty

Sąd Okręgowy w Gdańsku uwzględnił zażalenie prokuratora i nakazał księdzu Waldemarowi P. powrót do aresztu. W tle 21 pokrzywdzonych.

Niedawno („FpM" nr 39/26) informowaliśmy o zwolnieniu z aresztu ks. Waldemara P., byłego już proboszcza parafii pw. św. Stanisława Biskupa Męczennika w Skórowie (woj. pomorskie). Sąd uznał wtedy, że osiem miesięcy trzymania księdza za kratami to wystarczający czas, by prokuratura w Starogardzie Gdańskim zdołała zebrać dowody przeciwko niemu. W efekcie z końcem sierpnia br. 56-letni duchowny wyszedł na wolność. Decyzja była zaskakująca, bo śledczy wciąż nie ustalili, ilu chłopców skrzywdził ksiądz.

Do tej pory duchownemu postawiono pięć zarzutów. Dotyczą one seksualnego wykorzystywania i nadużycia stosunku zależności, a także wielokrotnego doprowadzenia małoletnich pokrzywdzonych do poddania się „innym czynnościom seksualnym". W czasie śledztwa okazało się jednak, że skrzywdzonych przez księdza chłopców może być znacznie więcej. Do tej pory prokuratura wytypowała 21 potencjalnych ofiar. Wciąż jednak prowadzi przesłuchania i analizuje korespondencję duchownego z ostatnich dwóch dekad. W tym czasie pracował on aż w dziewięciu parafiach na Pomorzu.

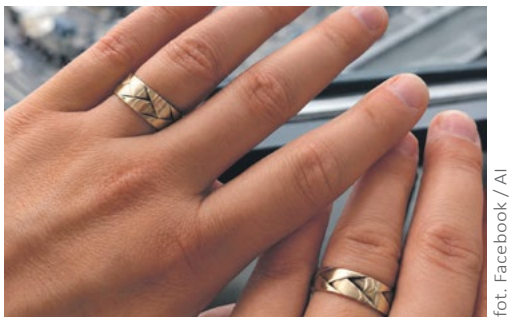
Prokuratura nie zgodziła się ze zwolnieniem księdza z aresztu. W zażaleniu wskazała, że może on próbować mataczyć w sprawie. Teraz Sąd Okręgowy w Gdańsku rozpatrzył wniosek prokuratury i zmienił postanowienie sądu pierwszej instancji. Tym samym ks. Waldemar P. wrócił do aresztu na kolejne trzy miesiące.

– Sąd Okręgowy w Gdańsku w całości podzielił argumenty prokuratora zawarte w zażaleniu wskazując, że wbrew twierdzeniu sądu pierwszej instancji, przesłanki stosowania tymczasowego aresztowania w postaci obawy matactwa procesowego pozostają aktualne – przekazał prokurator Mariusz Duszyński, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Gdańsku.

Katarzyna Wilk-Wojtczak

Duchowny na ślubnym kobiercu

Były katolicki duchowny Łukasz Kachnowicz poślubił swojego partnera.



fot. Facebook / AI

W polskim Kościele były tylko trzy tak głośne *coming outy*. Pierwszy – w 2015 r. ks. Krzysztof Charamsa, pracujący w Watykanie w Kongregacji Nauki Wiary, w przeddzień synodu ogłosił na konferencji prasowej, że jest gejem, przedstawił swojego partnera i skrytykował Kościół za homofobię. Ze względu na wysoką pozycję duchownego w kościelnych strukturach sprawa miała wymiar międzynarodowy. Drugim był Paweł Rakowski, były jezuita, który spędził w zakonie 20 lat. Po ujawnieniu swojej orientacji nie zrezygnował ze święceń. Nie odprawia mszy i nie przyjmuje komunii, tłumacząc to solidarnością z innymi wierzącymi LGBT, ale nadal deklaruje się jako głęboko wierzący.

Trzeci to właśnie Łukasz Kachnowicz. W latach 2010-2019 był księdzem uznawanym za eksperta od mediów społecznościowych. Pracował w parafiach w Puławach i Lublinie. Był też duszpasterzem akademickim na UMCS i wikariuszem w lubelskim kościele garnizonowym. W 2019 r. publicznie ogłosił, że jest osobą nieheteronormatywną i rezygnuje z kapłaństwa. „Dla jasności, odszedłem. Można już nie mówić, że jestem na urlopie. Nie jestem" – oświadczył wówczas.

Został suspendowany „za zgorszenie" i wypowiedzi sprzeczne z nauczaniem Kościoła. Później Kachnowicz współpracował z organizacjami pozarządowymi, m.in. z Lambdą Warszawa, uczestniczył w Marszach Równości. Zaangażował się też w politykę: był przewodniczącym okręgu Warszawa Mokotów-Ochota w partii Zieloni i ostro krytykował PiS. Teraz znów zrobiło się o nim głośno. Na Facebooku były ksiądz zamieścił zdjęcie złączonych dłoni z obrączkami. „Wracamy. Jako mężowie" – napisał.

Ślub odbył się w Danii, gdzie małżeństwa jednopłciowe są legalne od 2012 r.

KWW

eprasa.pl 245d7ac281

Pytania dotyczące Biblii (260)

Przeciw religijnej hipokryzji

„Kiedyś pisał Pan na temat szabatu, że wciąż jest obowiązujący, ale w Księdze Izajasza (1,11-13) oraz w Księdze Amosa (5,21) czytamy, że Bogu obrzydły wszelkie *żydowskie* uroczystości świąteczne. Czy nie wynika z tego, że wspomniane tam święta z szabatem włącznie już nie obowiązują?”.



Przeciwnie! Z biblijnego punktu widzenia, taki wniosek jest absolutnie nie do przyjęcia. Dlaczego?

Dekalogowy dzień święty

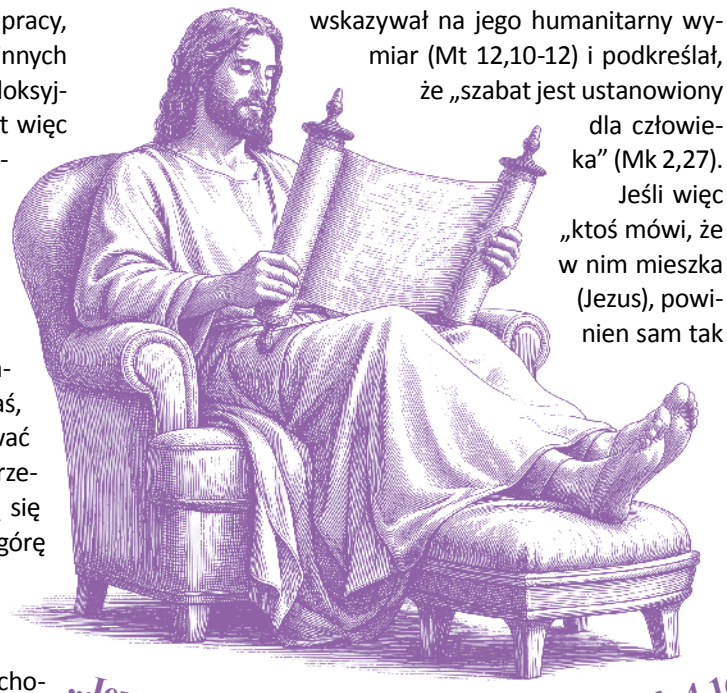
Po pierwsze, ponieważ święcenie szabatu jest nakazem dekalogowym (por. Wj 20,8-11), „dniem poświęconym Bogu godnym czci” (Iz 58,13), ale także dniem Bożego uświęcenia (Ez 20,12). Jest dobrem dla wszystkich, bo przypomina, że wszyscy mają prawo nie tylko do pracy, ale również odpoczynku. W przeciwieństwie do innych świąt biblijnych, które nadal obchodzą żydzi ortodoksyjni oraz niektóre wspólnoty mesjańskie, szabat jest więc świętem szczególnie wyróżnionym. Nie tylko bowiem jest nakazem dekalogowym, ale także nawiązuje do dzieła stworzenia, co oznacza, że jest to Boży święty dzień (Wj 20,10; Kpł 23,3) i dlatego też święcenie szabatu jest wciąż aktualne, jak i pozostałe przykazania Dekalogu (por. Pwt 4,2; Ps 19,8; 111,7-8). Gdyby było inaczej, w tej samej Księdze Izajasza nie czytalibyśmy przecież: „Cudzoziemców zaś, którzy przystali do Pana, aby mu służyć i aby miłować imię Pana, być jego sługami, wszystkich, którzy przestrzegają szabatu, nie bezczeszcząc go, i trzymają się mojego przymierza, wprowadzę na moją świętą górę i sprawię im radość w moim domu modlitwy (…), gdyż mój dom będzie zwany domem modlitwy dla wszystkich ludów” (Iz 56,6-7). Księga Izajasza nie zawierałaby również proroczej zapowiedzi obchodzenia szabatu przez wszystkich odkupionych na „nowej ziemi” (Iz 66,22-23).

Przykład Jezusa

Po drugie, jak czytamy w Ewangelii Mateusza, Jezus nie zniósł ani jednego z przykazań Dekalogu. Przeciwnie, powiedział: „Dopóki nie przeminie niebo i ziemia, ani jedna jota, ani jednak kreska nie przeminie z zakonu, aż wszystko to się stanie” (Mt 5,18, por. Łk 16,17; 21,33). Co tydzień, według zwyczaju swego, Jezus uczestniczył również w synagogalnych zgromadzeniach (por. Łk 4,16). Zachęcał też swoich uczniów do modlitwy, mówiąc: „aby ucieczka wasza nie wypadła zimą albo w szabat. Wtedy bowiem nastanie wielki ucisk, jakiego nie było od początku świata” (Mt 24,20).

Za przestrzeganiem szabatu przemawia również przykład Maryi – matki Jezusa – oraz innych bogobojnych Żydówek i pierwotnej wspólnoty apostolskiej (Łk 23,54-56; Dz 2, 46;16,13).

O tym, że Jezus nie unieważnił szabatu, ksiądz Wincenty Zaleski pisał tak: „Nie ma ani jednej wzmianki w Ewangeliach, żeby Pan Jezus łamał przepisy Prawa odnośnie do nakazanego spoczynku w szabat” („Nauka Boża. Dekalog”, Poznań 1960, s. 199). To samo głosił biskup Stanisław Adamski, mówiąc: „Pan Jezus nie tylko nie zniósł przykazania o święceniu dnia sobotniego, lecz owszem zatwierdził je i wypełnił, a tylko oczyścił dzień Bogu poświęcony od naleciałości i małostkowych postanowień faryzeuszów” („Gość Niedzielny” z 22 lutego 1932 r.). Wniosek z tego płynie taki, że wszyscy, którzy powołują się na Jezusa, powinni go raczej naśladować, zamiast kwestionować świętość szabatu. Zwłaszcza że Jezus nie tylko przestrzegał szabatu (Łk 4,16), ale także wskazywał na jego humanitarny wymiar (Mt 12,10-12) i podkreślał, że „szabat jest ustanowiony dla człowieka” (Mk 2,27). Jeśli więc „ktoś mówi, że w nim mieszka (Jezus), powinien sam tak postępować, jak On postępował” (1 J 2,6). Wszak „nie jest uczeń nad mistrza ani sługa nad swego pana; wystarczy uczniowi, aby był jak jego mistrz, a sługa jak jego pan” (Mt 10,24-25).



„Jezus nie tylko przestrzegał szabatu (Łk 4,16), ale także wskazywał na jego humanitarny wymiar (Mt 12,10-12) i podkreślał, że szabat jest ustanowiony dla człowieka (Mk 2,27)”.

Stanowisko proroków

Po trzecie, ani prorok Izajasz, ani prorok Amos nie kwestionowali świętości szabatu. Obaj natomiast krytycznie wypowiadali się przeciw obłudzie religijnej oraz bezprawiu, jakiego dopuszczał się lud, szczególnie przywódcy Izraela. Dobitnie świadczy o tym wypowiedź Izajasza, który w ostrych słowach tak zwracał się do przywódców żydowskich: „Słuchajcie Słowa Pana, książęta sodomscy, przysłuchuj się wskazaniu naszego Boga, ludu Gomory! Co mi po mnóstwie waszych krwawych ofiar – mówi Pan (…). Gdy przychodzicie, aby zjawić się przed moim obliczem, któż tego żądał od was, abyście wydeptywali moje dziedzińce? Nie składajcie już ofiary daremnej, kadzenie, nowie i sabaty mi obrzydły, zwoływanie uroczystych zebrań – nie mogę ścierpieć świąt i uroczystości. Waszych nowiów i świąt nienawidzi moja dusza, stały mi się ciężarem, zmęczyłem się znosząc je. A gdy wyciągacie swoje ręce, zakrywam moje oczy przed wami, choćbyście pomnożyli wasze modlitwy, nie wysłucham was, bo na waszych rękach pełno krwi” (Iz 1,10-15).

Co zatem wywołało gniew Boży? Przede wszystkim niewierność, odstępstwo ludu, który stał się niczym mieszkańcy Sodomy i Gomory (1,2-4,10). Izajasz nie kwestionował więc obchodzenia szabatu czy modlitw, lecz ganił nikczemność książąt (1,23), materializm, niesprawiedliwość z przekupstwem sędziów włącznie (5,8-23). Był przerażony tym, że Syjon stał się miastem nierządnym (1,21). Prorok nie mógł znieść wyzysku najuboższych: „Twoi przewodnicy są buntownikami i wspólnikami złodziei, wszyscy lubią łapówki i gonią za darami, nie wymierzają sprawiedliwości sierocie, a sprawa wdów nie dochodzi do nich” (1,23). Ubolewał nad kultem obcych bóstw oraz obecnością „wróżbitów Wschodu i czarowników jak u Filistynów”; nad tym, że „ziemia jest pełna bożków, kłaniają się dziełu swoich rąk (…). I tak poniżył się człowiek i spodlał rodzaj ludzki” (2,6.8); ubolewał także nad tym, że zamiast się ukorzyć i nawrócić, naród celebrował jedynie powierzchowną pobożność. I taka właśnie postawa, pełna hipokryzji i religijnej bezduszności, wzbudziła gniew Boży.

Powierzchowność tę i niegodziwość ludu potwierdza również Księga Amosa, w której czytamy: „Kiedyż minie nów, abyśmy mogli kupczyć zbożem, i szabat, abyśmy ziarno mogli wystawić na sprzedaż, pomniejszyć efę, a powiększyć odważniki, przechylić oszukańczo wagę. Nabywać nędzarzy za pieniądze, a ubogich za parę sandałów?” (Am 8,5-6). Czego więc oczekiwał Bóg od swego ludu? Odpowiedź kryje się w słowach proroka Izajasza: „Obmyjcie się, oczyśćcie się, usuńcie wasze złe uczynki sprzed moich oczu, przestańcie źle czynić! Uczcie się dobrze czynić, przestrzegajcie prawa, brońcie pokrzywdzonego, wymierzajcie sprawiedliwość sierocie, wstawiajcie się za wdową!” (1,15-17).

Podobnie pisał prorok Amos: „Niech raczej prawo tryska jak woda, a sprawiedliwość jak nie wysychający!” (Am 5,24, por. Mi 6,8), a także prorok Micheasz: „Oznajmiono ci, człowiecze, co jest dobre i czego Pan żąda od ciebie: tylko, abyś wypełniał prawo, okazywał miłość bratnią i w pokorze obcował ze swoim Bogiem” (Mi 6,8). Innymi słowy, jeśli nagminnie łamie się etyczne przykazania Dekalogu (por. Mt 19,18-19), wtedy również przestrzeganie świąt, składanie ofiar i zanoszenie modlitw nie ma żadnego znaczenia.

Niestety, w o wiele większym stopniu dotyczy to również chrześcijan. Nie dość bowiem, że chrześcijanie nagminnie łamią cztery pierwsze przykazania Dekalogu (Trójca, idolatria, czyli bałwochwalczy kult wizerunków, pomników i tzw. świętych, krzywoprzysięstwo, święcenie niedzieli zamiast szabatu – por. Wj 20,1-11), to na co dzień łamią również pozostałe przykazania Dekalogu. I tego właśnie nienawidzi Bóg!

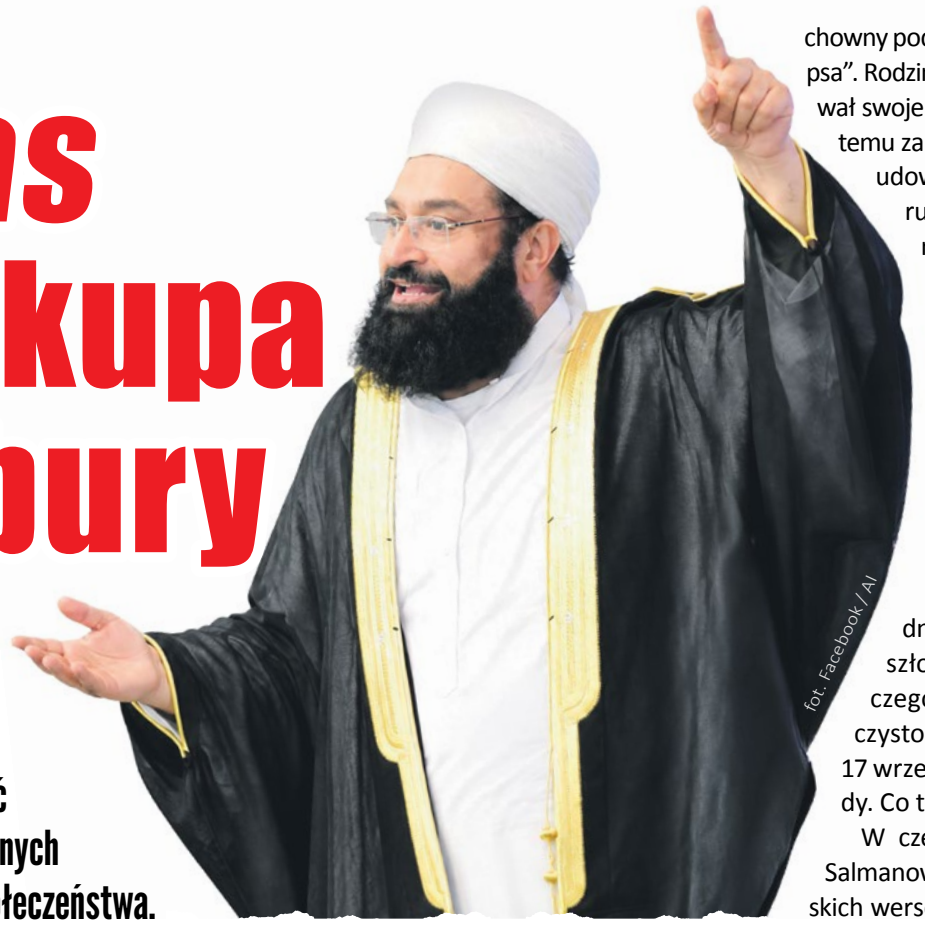
Bolesław Parma

eprasa.pl 245d7ac281

Od pojednania do Osamy bin Ladena

Faux pas arcybiskupa Canterbury

11 września 2026 r., dokładnie w 25. rocznicę zamachów na World Trade Center i Pentagon, w londyńskim Lambeth Palace odbyła się uroczystość wręczenia Nagród Lambeth, przyznawanych za szczególne zasługi dla Kościoła i społeczeństwa.


fot. Facebook / AI

Gospodynią była Sarah Mullally, pierwsza kobieta na stanowisku arcybiskupa Canterbury, która po raz pierwszy wręczała te wyróżnienia. Wśród laureatów znalazł się pakistański duchowny Tahir Ashrafi. Otrzymał Nagrodę Huberta Waltera, przyznawaną za zasługi dla pojednania i współpracy międzyreligijnej.

Data uroczystości nadawała temu wyróżnieniu szczególny kontekst.

Za co ta nagroda?

Wybór Ashrafiego trudno uznać za przypadkowy. Stał na czele Pakistan Ulema Council, organizacji skupiającej muzułmańskich duchownych, i od lat angażował się w dialog międzyreligijny. Kilkakrotnie występował też w obronie pakistańskich chrześcijan. W 2012 r. stanął w obronie Rimshy Masih, młodej chrześcijanki oskarżonej o bluźnierstwo. Dziewczynce zarzucono bezczeszczenie Koranu. Trafiła do więzienia, a około 400 chrześcijańskich rodzin ratowało się ucieczką przed rozwścieczonym tłumem. Ashrafi publicznie zażądał bezstronnego śledztwa, ukarania osób odpowiedzialnych za fałszywe oskarżenia i zapewnienia bezpieczeństwa dziewczynce oraz jej społeczności. Nazwał Rimshę córką narodu pakistańskiego i zadeklarował, że jego organizacja zagwarantuje jej ochronę.

W Pakistanie, gdzie samo oskarżenie o bluźnierstwo może sprowadzić na człowieka śmiertelne niebezpieczeństwo, takie deklaracje miały znaczenie. Ashrafi występował również przeciwko zabijaniu pracowników prowadzących szczepienia przeciwko polio, którym islamscy ekstremiści zarzucali działanie wbrew religii. Duchowny, który bronił Rimshy przed oskarżeniami o bluźnierstwo, równocześnie stanowczo sprzeciwiał się zniesieniu pakistańskiego prawa o bluźnierstwie. Jego zdaniem, problem nie tkwił w przepisach, lecz w ich niewłaściwym stosowaniu. Domagał się karania fałszywych oskarżycieli, ale nie rezygnacji z prawa przewidującego za niektóre czyny nawet karę śmierci. Można więc było jednocześnie bronić człowieka przed skutkami określonego prawa i bronić samego prawa. Ashrafi potrafił pogodzić ogień z wodą.

Jego działalność najwyraźniej przekonała również pakistańskich anglikanów. Azad Marshall, zwierzchnik Kościoła Pakistanu, osobiście rekomendował muzułmańskiego duchownego do Nagrody Lambeth. Nominację zgłoszono jeszcze za kadencji poprzedniego arcybiskupa Canterbury Justina Welby'ego. Na tym etapie nic nie wskazywało, że wybór laureata okaże się problemem.

Kłopoty laureata

24 września brytyjski „The Telegraph" opublikował materiał dotyczący brata Ashrafiego Hassana, którego dziennikarze powiązali z grupą wykorzystującą pakistańskie prawo o bluźnierstwie do wymuszania pieniędzy. Mechanizm był prosty jak konstrukcja cepa: za pośrednictwem mediów społecznościowych nawiązywano kontakty z mężczyznami, których nakłaniano do przesyłania materiałów mogących zostać uznanymi za bluźniercze. Później pojawiały się oskarżenia, groźby, a w niektórych wypadkach również porwania i tortury. Od rodzin żądano pieniędzy.

Dziennikarze dotarli do policyjnych akt, z których wynikało, że w ciągu czterech lat brat laureata oskarżył o bluźnierstwo 26 osób. Dotarli również do rodzin domniemanych ofiar. Jedna z nich opowiedziała, że po uprowadzeniu jej krewnego zażądano informacji o wartości domu i posiadanej biżuterii.

W 2024 r. pakistańska policja sporządziła raport dotyczący grupy wykorzystującej oskarżenia o bluźnierstwo do wymuszania pieniędzy, a działającej przy współudziale skorumpowanych funkcjonariuszy. W raporcie wymieniono osoby powiązane z bratem Ashrafiego, choć jego samego nie wskazano. Sprawa trafiła również do sądu w Islamabadzie. Sędzia Sardar Ejaz Ishaq Khan przeprowadził kilkadziesiąt rozpraw dotyczących skarg składanych przez rodziny oskarżonych. W lipcu 2025 r. nakazał powołanie specjalnej komisji śledczej. Dziewięć dni później jego decyzję zawieszono.

Tahir Ashrafi publicznie bronił brata i ostro atakował prawników reprezentujących rodziny ofiar. Oberwało się również sędziemu prowadzącemu sprawę, którego duchowny podczas jednej z konferencji uznał za „gorszego od psa". Rodziny oskarżonych twierdziły, że Tahir wykorzystywał swoje polityczne wpływy, aby chronić brata. Ashrafi temu zaprzeczał. Oświadczył nawet, że jeśli ktokolwiek udowodni, iż on lub Hassan przyjęli choćby jedną rupię z wymuszeń, można go powiesić. Hassan również wszystkiemu zaprzeczał.

Zarzutów tych nie udowodniono. Pozostawał jednak paradoks: człowiek nagrodzony w Londynie za obronę ofiar nadużywania prawa o bluźnierstwie sam został oskarżony o chronienie ludzi, którzy mieli wykorzystywać to prawo przeciwko innym.

Sześć dni chwały

Laureat cieszył się nagrodą zaledwie sześć dni. Ktoś wreszcie zainteresował się jego przeszłością i zajrzał do archiwów prasowych. To, czego najwyraźniej nie znaleziono przed uroczystością, szybko trafiło do brytyjskich mediów. 17 września Lambeth Palace ogłosił cofnięcie nagrody. Co takiego znaleziono?

W czerwcu 2007 r. brytyjska monarchia nadała Salmanowi Rushdiemu tytuł szlachecki. Autor „Szatańskich wersetów" nie wszędzie został przyjęty z entuzjazmem. W Pakistanie wybuchły protesty, palono kukły pisarza i królowej Elżbiety II. Tahir Ashrafi postanowił odpowiedzieć Brytyjczykom pięknym za nadobne. Skoro oni mieli swojego sir Salmana, pakistańscy duchowni też mogli mieć bohatera.

21 czerwca Ashrafi poinformował agencję AFP, że kierowana przez niego rada przyznała Osamie bin Ladenowi tytuł „Saifullah", czyli „Miecz Allaha". Następnego dnia napisał o tym pakistański „Dawn". Australijskie radio ABC wyemitowało zaś wypowiedź samego Ashrafiego, który tłumaczył, dlaczego przyznano bin Ladenowi ten tytuł.

Tak, chodziło o tego samego bin Ladena, który stał za zamachami z 11 września. A człowiek, który ogłaszał jego uhonorowanie, otrzymał w Londynie nagrodę za pojednanie dokładnie w 25. rocznicę tych zamachów.

Kiedy stare wypowiedzi wypłynęły, wybuchła awantura. Działająca na rzecz rozdziału Kościoła i państwa pozarządowa organizacja National Secular Society ostro skrytykowała zarówno wybór laureata, jak i datę uroczystości. Ashrafi zapewniał, że jego dawne słowa zostały wyrwane z kontekstu. Twierdził, że chciał jedynie pokazać, jak bardzo muzułmanów uraziło uhonorowanie Rushdiego, a bin Laden formalnie żadnego tytułu nie otrzymał. Być może. Tyle że w 2007 r. mówił dziennikarzom, iż jego rada już go przyznała. Dziewiętnaście lat to najwyraźniej wystarczająco dużo czasu, żeby historia doczekała się nowego wyjaśnienia.

Cofnięcie nagrody wcale nie zakończyło sprawy. Azad Marshall, zwierzchnik Kościoła Pakistanu, który rekomendował Ashrafiego, uznał decyzję Canterbury za upokorzenie pakistańskich chrześcijan i zażądał przeprosin. Człowiek wyróżniony za pojednanie stał się więc powodem kolejnej kłótni, tym razem wśród samych anglikanów.

Na koniec drobiazg, który znalazłem zbierając informacje do tego artykułu. Na oficjalnej stronie arcybiskupki Canterbury nadal widnieje komunikat z 14 września informujący o 27 laureatach. Pod nim znajduje się ich pełna lista: 26 nazwisk. Ashrafi zniknął, ale liczba pozostała.

Nagrodę można odebrać. Nazwisko wykreślić. Z wypowiedzią sprzed dziewiętnastu lat idzie już gorzej. Z logicznym myśleniem i arytmetyką, jak widać, również.

Daniel Młynarski, Londyn

eprasa.pl 245d7ac281

Wielka Brytania: kolonie kontratakują

Fortuna pontonem si

Imperialistyczne podboje Wielkiej Brytanii po latach odbijają się czkawką.

W ciągu kilkuset lat wyspiarze zajęli, podporządkowali lub związali z Koroną ponad 200 terytoriów: jako kolonie, protektoraty, dominia, terytoria zależne, a czasem także poprzez unię personalną. W szczytowym okresie imperium brytyjskie obejmowało niemal jedną czwartą lądów świata, a pod władzą Londynu żyło około pół miliarda ludzi. Nic dziwnego, że ukuto powiedzenie, iż nad imperium brytyjskim nigdy nie zachodzi słońce. Geograficznie pozostaje aktualne do dziś. Czternaście terytoriów zamorskich jest tak rozrzuconych po świecie, że zawsze nad którymś świeci słońce.

Dziś imperialny blask wygląda trochę inaczej; przebija przez niego krew, niewolnictwo i kolonialny wyzysk. Pod brytyjskim panowaniem życie straciły miliony ludzi: podczas wojen kolonialnych, tłumienia buntów, represji, w obozach, a przede wszystkim podczas wielkich klęsk głodu, których rozmiary i skutki potęgowała polityka władz imperialnych. Tylko w Indiach liczba ofiar wielkich głodów była liczona w dziesiątkach milionów.

Przez stulecia do brytyjskich portów płynęły towary niemal ze wszystkich stron świata. Herbata z Chin, bawełna z Indii, cukier z Karaibów, tytoń z Ameryki, złoto, kość słoniowa i inne surowce z Afryki. Imperium stworzyło gigantyczny system transportu dóbr do Londynu, Liverpoolu, Bristolu i innych brytyjskich portów.

Dobroczynne niewolnictwo

Oprócz towarów płynęły również pieniądze. I to spore. Ogromne fortuny powstawały na plantacjach. Zarabiano na handlu, transporcie i eksploatacji kolonii. Szczególną rolę odgrywał handel niewolnikami. Przez dziesięciolecia handlarze przewozili przez Atlantyk setki tysięcy zniewolonych Afrykanów. Ludzie byli kupowani, sprzedawani i transportowani jak każdy inny towar, ale w gorszych warunkach niż np. bawełna. Większość trafiała na plantacje Karaibów i obu Ameryk, część przywożono również na Wyspy, gdzie pracowali między innymi jako służba w domach bogatych Brytyjczyków. Pieniądze zarobione na niewolniczej pracy i handlu ludźmi nie zostawały na odległych plantacjach. Wracały do kraju razem z właścicielami majątków, kupcami, bankierami. Kupowano za nie ziemię, budowano rezydencje, rozwijano przedsiębiorstwa, finansowano banki, szkoły, szpitale, kościoły i działalność dobroczynną. Część brytyjskiego bogactwa, które dzisiaj kojarzy się z eleganckimi kamienicami, portowymi dzielnicami i szacownymi instytucjami, ma korzenie bardzo daleko od Wysp.

Symbolem tego mechanizmu stał się Edward Colston. Kupiec z Bristolu należał do Royal African Company, jednego z najważniejszych brytyjskich przedsiębiorstw zajmujących się handlem niewolnikami. W okresie jego działalności spółka przewiozła przez Atlantyk ponad 84 tysiące zniewolonych Afrykanów, wśród nich około 12 tysięcy dzieci. Ponad 19 tys. ludzi nie przeżyło podróży. Colston uchodził w Bristolu za wielkiego dobroczyńcę. Finansował szkoły, przytułki, kościoły i inne przedsięwzięcia społeczne. Jego nazwiskiem przez lata nazywano budynki, instytucje i ulice. W centrum miasta stał jego pomnik. Podczas protestu Black Lives Matter (2020 r.) tłum obalił monument, przeciągnął go ulicami Bristolu, a następnie wrzucił do wody w miejscowym porcie. Scena obiegła świat. Człowiek, którego ponad sto lat przedstawiano jako filantropa i dobroczyńcę miasta, został pośmiertnie rozliczony z tego, skąd wzięła się przynajmniej część pieniędzy pozwalających mu tę dobroczynność uprawiać.

Colston nie był wyjątkiem. Na niewolnictwie zarabiali właściciele plantacji, kupcy, armatorzy, bankierzy, ubezpieczyciele i inwestorzy. Korzystały również instytucje, których dziś raczej nie kojarzy się z handlem ludźmi. Wśród nich znalazł się nawet Kościół Anglii.

Zarządzający dziś znaczną częścią majątku Kościoła sami przyznali, że ich historyczny poprzednik, fundusz Queen Anne's Bounty, inwestował w Kompanię Mórz Południowych (South Sea Company), przedsiębiorstwo uczestniczące w handlu zniewolonymi Afrykanami. Kwerenda archiwalna wykazała, że znaczna część darowizn pochodziła od ludzi związanych z niewolnictwem i gospodarką kolonialną.

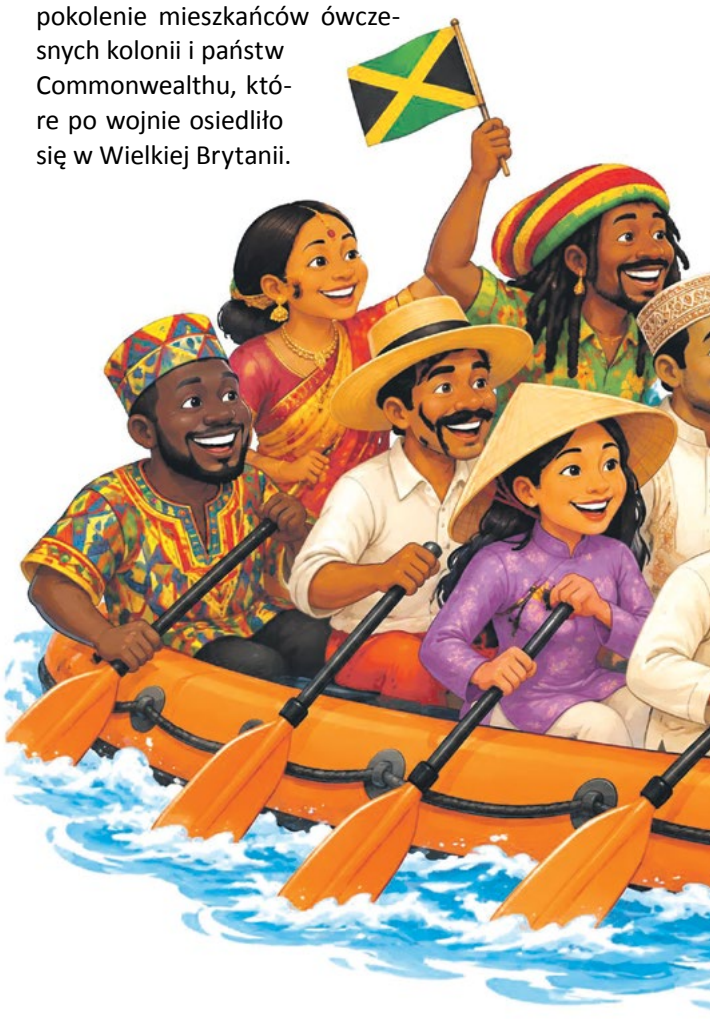
W 2023 r. Kościół Anglii ogłosił przeznaczenie 100 mln funtów na program stanowiący historyczne związki jego majątku z niewolnictwem. (Szerzej pisaliśmy o tym w numerze 16. z 2026 r.).

Kiedy w XIX wieku Wielka Brytania zniosła niewolnictwo na większości swojego imperium, ogromnych odszkodowań nie otrzymali byli niewolnicy, lecz ich właściciele! Państwo przeznaczyło na ten cel 20 milionów funtów, gigantyczną wówczas sumę. Dziś Wielka Brytania coraz chętniej rozlicza symbole swojej imperialnej przeszłości. Pomniki są usuwane, ulice i budynki zmieniają nazwy, instytucje badają źródła swoich majątków, a Kościół przeznacza miliony na naprawianie krzywd sprzed stuleci. Usunąć pomnik jest jednak łatwiej niż odpowiedzieć na pytanie, gdzie i kiedy kończy się odpowiedzialność za grzechy imperium.

Proszę wsiadać... drzwi zamykać!

Bo ono pozostawiło po sobie nie tylko kamienne monumenty i wielkie fortuny. Zostawiło granice, język, systemy prawne, powiązania gospodarcze, więzi rodzinne i setki milionów ludzi, których kraje przez pokolenia były związane z Londynem. Przez stulecia mieszkańcy kolonii mieli patrzeć w stronę Londynu jako centrum swojego świata. Uczyli się angielskiego, podlegali brytyjskiemu prawu i administracji, służyli w brytyjskiej armii, pracowali dla brytyjskich przedsiębiorstw. Wielka Brytania stworzyła obejmującą pół świata sieć powiązań, a później odkryła, że mieszkańcy drugiego końca tej sieci też potrafią z niej korzystać.

Po II wojnie światowej było to nawet bardzo pożądane. Zniszczona wojną Wielka Brytania potrzebowała ludzi. Do pracy w transporcie, na kolei, poczcie, w fabrykach i rodzącej się właśnie państwowej służbie zdrowia. Przyjeżdżali więc mieszkańcy Karaibów i innych części imperium. 22 czerwca 1948 r. w Tilbury zacumował „Empire Windrush". Na pokładzie znajdowało się ponad tysiąc osób, z których setki przybyły z Karaibów. Dziś nazwą Windrush Generation określa się całe pokolenie mieszkańców ówczesnych kolonii i państw Commonwealthu, które po wojnie osiedliło się w Wielkiej Brytanii.



Nie przypływali jako nielegalni imigranci. Byli obywatelami brytyjskimi lub obywatelami państw Wspólnoty i mieli prawo wjechać do kraju, pracować i osiedlać się. Dla wielu Wielka Brytania była *mother country* – krajem-matką, centrum imperium, którego sami byli częścią.

Kiedy Brytyjczycy potrzebowali rąk do pracy, taki układ nikomu szczególnie nie przeszkadzał. Z czasem przyjezdnych było jednak coraz więcej, niekoniecznie z kolonii. I nagle okazało się, że imperialna wspólnota ma swoje granice. Ustawa o imigrantach ze Wspólnoty Narodów (1962 r.) wprowadziła ograniczenia wjazdu i systemu zezwoleń na pracę. Sześć lat później przepisy zaostrzono ponownie. Ustawa z 1968 r. została przyjęta w wielkim pośpiechu między innymi po to, by ograniczyć napływ mieszkańców Kenii, którzy zachowali brytyjskie paszporty po uzyskaniu przez ten kraj niepodległości. Jeszcze

eprasa.pl 245d7ac281

ę toczy

dalej poszła ustawa imigracyjna z 1971 r. Pojawiło się pojęcie „patrial”, czyli osoby posiadającej wystarczająco bliski związek rodzinny z Wielką Brytanią, aby mieć prawo stałego pobytu.

Imperium rozpadało się więc nie tylko politycznie. Londyn krok po kroku zamykał drzwi, które wcześniej sam przez dziesięciolecia pozostawiał otwarte, mówiąc o moralnym obowiązku. Skoro Brytyjczycy przez kilka stuleci mogli bez zaproszenia pojawiać się w obcych krajach, urządzać się tam, prowadzić interesy, kupować ziemię, sprawować władzę i korzystać z miejscowych bogactw, to trudno dziś z pełnym przekonaniem oburzać się na ludzi, którzy uznali, że do Wielkiej Brytanii też można przyjechać bez pytania o pozwolenie. Ot tak, z rewizytą.

Nie chodzi o postulat otwarcia granic i wpuszczenia do Wielkiej Brytanii



każdego. Chodzi o konsekwencję. Jeżeli współczesna Wielka Brytania uznaje, że istnieje jakaś odpowiedzialność za wydarzenia sprzed dwustu czy trzystu lat, skoro usuwa pomniki, zmienia nazwy instytucji, bada pochodzenie majątków i przeznacza miliony na naprawianie historycznych krzywd, to gdzie ta odpowiedzialność się kończy? Czy sprawiedliwość dziejowa obowiązuje wobec posągu Edwarda Colstona, ale przestaje obowiązywać wobec żywych ludzi?

Pytania te są tym bardziej istotne, że nikt w Indiach, Afryce czy na Karaibach nie organizował referendum na temat przyjazdu Brytyjczyków. Nie stawiano na plażach patroli mających zawracać statki Kompanii Wschodnioindyjskiej. Nie płacono sąsiedniemu państwu milionów, żeby zatrzymywało brytyjskich kupców, żołnierzy i urzędników przed przekroczeniem granicy.

Łódka za miliard

Między Francją a Wielką Brytanią w najwęższym miejscu jest niewiele ponad 30 kilometrów wody. Dla tysięcy ludzi Kanał La Manche (po wyspiarskiej stronie nazywany English Channel) stał się ostatnim etapem podróży do kraju, który przez stulecia sam docierał do niemal każdego zakątka świata. Jeszcze w 2018 r. skalę zjawiska można było uznać za margines. W ciągu całego roku odnotowano 299 osób, które dotarły do Wielkiej Brytanii małymi łodziami. Od początku 2018 r. do końca marca 2026 r. brytyjskie służby odnotowały blisko 200 tys. ludzi, którzy dotarli na Wyspy tą drogą.

Brytyjska odpowiedź jest dość prosta: skoro nie można przesunąć Wielkiej Brytanii dalej od Francji, trzeba zapłacić Francuzom, żeby zatrzymywali ludzi po swojej stronie. I Londyn płaci. Współpraca obu państw w ochronie brytyjskiej granicy trwa od dawna, ale w 2018 r. podpisano traktat z Sandhurst, a od 2019 r. coraz większa część pieniędzy i wysiłku zaczęła być kierowana właśnie na powstrzymywanie małych łodzi.

Kwoty rosły razem z liczbą pontonów. W 2023 r. Wielka Brytania zobowiązała się przekazać Francji około 476 milionów funtów w ciągu trzech lat. W kwietniu 2026 r. podpisano następne porozumienie. Tym razem rachunek wyniósł 662 miliony funtów (ok. 3,3 mld zł) na kolejne trzy lata. W zaokrągleniu to 3 mln zł dziennie – 125 tys. zł za każdą godzinę… Londyn wydaje krocie, żeby pontony nie wypływały. Wielka kasa krąży również po drugiej stronie – przemyt ludzi jest dziś wielkim międzynarodowym biznesem. Komisja Europejska szacuje roczną wartość „rynku przemytników” organizujących nielegalną migrację do i wewnątrz Unii Europejskiej na ponad 5 mld euro.

Za brytyjskie pieniądze Francja zwiększa liczbę funkcjonariuszy, kupuje i wykorzystuje sprzęt obserwacyjny, drony, kamery termowizyjne, prowadzi patrole na plażach, kontroluje drogi, niszczy łodzie przygotowane do przepraw i rozbija grupy przemytnicze. W 2026 r. pojawiły się również specjalne oddziały mogące bardziej zdecydowanie interweniować przy samym brzegu i w płytkiej wodzie.

Nie można uznać, że Francuzi siedzą z założonymi rękami. Jest jednak małe „ale”. Według danych francuskich służb, tylko między 27 kwietnia a 2 sierpnia 2026 r. udaremniono 185 prób wypłynięcia i zatrzymano w ten sposób ponad 4 300 osób. Przejmowano pontony, silniki i kamizelki ratunkowe, zatrzymywano także przemytników. Tyle że w tym samym czasie tysiące innych osób dotarły do Wielkiej Brytanii. Rekordowy był „rejs” 10 sierpnia – 230 osób na jednym pontonie.

I tu wkraczamy w opary absurdu wynikającego z geografii, prawa morskiego i polityki. Na plaży francuski policjant ma zatrzymać ponton. Od niedawna służby dostały również większe możliwości interwencji przy samym brzegu i na płytkiej wodzie. Mogą rozpędzić grupę, uszkodzić łódź by nie dopuścić do jej zwodowania. Kilkadziesiąt metrów dalej sytuacja się zmienia. Kiedy przeciążona łódź, odpłynie od brzegu, priorytetem służb staje się przede wszystkim bezpieczeństwo znajdujących się na niej osób. Francuskie jednostki obserwują więc pontony, a w razie zagrożenia mają obowiązek ratować ludzi.

Z punktu widzenia Londynu wygląda to niemal groteskowo: brytyjski podatnik płaci Francji za to, by człowiek nie wypłynął w stronę Wielkiej Brytanii, ale jeśli ten jednak wypłynie, francuskie służby nie mogą przecież pozwolić mu utonąć. Dlatego francuscy marynarze zrzucają na pokład pontonów na przykład kamizelki ratunkowe – niewykluczone, że kupione za brytyjskie pieniądze. Brytyjscy politycy coraz częściej jeżdżą więc do Francji osobiście sprawdzać, za co właściwie płacą.

Pod koniec lipca 2026 r. zrobił to Chris Philp, konserwatywny poseł i ówczesny rzecznik opozycji. Wypłynął łodzią w okolice Boulogne, aby z bliska obserwować działania Francuzów. Niedługo potem, ok. 300 metrów od łodzi, na której znajdował się polityk i ekipa BBC, pojawił się francuski patrolowiec „Flamant”. Z jego pokładu oddano 17 strzałów. Nie w stronę brytyjskiej łodzi, ale wystarczająco blisko, żeby pasażerowie zwrócili na nie uwagę. Francuzi wyjaśnili później, że nie miało to absolutnie nic wspólnego ani z obecnością brytyjskiego polityka, ani z migrantami. Załoga prowadziła po prostu rutynowe ćwiczenia. Philp (i nie tylko on) uznał to wyjaśnienie za mało wiarygodne.

Rachunek przypłynął

Historia jest zbyt dobra, żeby ją wymyślić. Przedstawiciel państwa, które przez stulecia wysyłało uzbrojone okręty na wszystkie oceany świata, płynie sprawdzić, dlaczego Francuzi nie potrafią zatrzymać kilku pontonów, po czym obok niego francuski okręt zaczyna strzelać. Oczywiście ćwiczebnie. Cała sprawa ma jednak również inną stronę.

Nie każdy człowiek przepływający dziś kanał pochodzi z dawnej kolonii brytyjskiej. Nie da się narysować prostej linii łączącej imperium brytyjskie z każdym pontonem wypływającym z francuskiej plaży. Wśród migrantów są ludzie z państw mający różne historie. Można oczywiście uznać, że obecne pokolenie Brytyjczyków nie odpowiada za to, co robili kupcy, żołnierze czy politycy żyjący dwieście lat temu.

Owszem. Ale wtedy pojawia się kolejne pytanie. Dlaczego odpowiedzialność historyczna wystarcza, żeby po 125 latach obalić pomnik Colstona? Dlaczego wystarcza, żeby Kościół Anglii przeznaczał 100 mln funtów na rozliczenie związków swojego majątku z niewolnictwem? Dlaczego wystarcza, aby zmieniać nazwy ulic, szkół i instytucji? A kiedy mowa o migracyjnych konsekwencjach tego samego imperium nagle okazuje się, że historia skończyła się dawno temu i z teraźniejszością nie ma już nic wspólnego?

Przez kilkaset lat Brytyjczycy podróżowali po świecie nie zawsze pytając gospodarzy, czy mogą wejść. Dziś byli gospodarze przyjeżdżają do nich w gości. Londyn wydaje jednak blisko półtora miliarda funtów (siedem i pół mld zł), żeby ostatnich kilkudziesięciu kilometrów tej podróży nie pokonali. Imperium upadło. Statki Royal Navy nie wożą już gubernatorów na drugi koniec świata. Płyną za to rachunki za imperium. Na pontonach. Wystawiają je zaś ci, którzy swoją potęgę również zbudowali na wyzysku innych. Jeszcze przed stu laty kolonie francuskie stanowiły 8,6 proc. powierzchni lądowej całej Ziemi.

Obywatele innych kolonialnych imperiów: Hiszpanii, Portugalii, Szwecji, Holandii, Danii, Belgii czy Niemiec, korzystają z prawa do nieograniczonego wjazdu zarówno do Wielkiej Brytanii, jak i Francji. Podbitym pozostawiono prawo podziwiania bogactw swych dawnych panów i płacenia daniny kapłanom, których tam pozostawili, bo każda wolność ma swoje granice…

Daniel Młynarski, Londyn

eprasa.pl 245d7ac281

Kolej rzeczy obiecanych



Zamiast ciepłej wody w kranie Tusk zapowiedział szybkie pociągi.

Polska będzie miała najnowocześniejszą kolej w Europie. Pociągi pomkną 350 km/godz. Każdy powiat uzyska dostęp do połączeń dalekobieżnych. Powstanie 4 700 km nowych linii, z czego 2 700 km Kolei Dużych Prędkości. Zmodernizowanych zostanie prawie 5 600 km starych torów. Z Warszawy do największych aglomeracji będzie się jechało około 100 minut, z Krakowa do Gdańska trzy godziny, a zamiast 500 mln pasażerów rocznie, koleją będzie jeździło 800 mln. Brzmi dobrze, pozostaje wszak tylko drobiazg – trzeba to jeszcze zbudować.

350 km na godzinę gadania

Rządowy program nazwano Zintegrowaną Siecią Kolejową (ZSK). Jak przystało na przedsięwzięcie mające przeobrazić kraj, liczby są takie, że od samego czytania można dostać zadyszki. Tyle że na rządowej stronie poświęconej ZSK z 4 700 km nowych linii do 2035 r. ma zostać uruchomionych około 1 000 km. Reszta jest planem sięgającym kolejnych dekad. Czyli obecny rząd ogłosił program, którego w zdecydowanej większości nie będzie w stanie zrealizować. Sukces przedsięwzięcia będzie zależał od kolejnych parlamentów, rządów, budżetów państwa, unijnych perspektyw finansowych, procedur środowiskowych, przetargów i wykonawców.

Do 2035 r. w pierwszej kolejności mają powstać między innymi linia „Y" Warszawa – nowe lotnisko – Łódź – Poznań/Wrocław, odcinek Rail Baltica Ełk – Trakiszki, Podłęże – Piekiełko oraz trasa Katowice – Ostrawa. Sama linia „Y" ma liczyć ok. 480 km, Ełk – Trakiszki około 80 km, Katowice – Ostrawa około 50 km.

W 2025 r. Polacy odbyli koleją 439 mln podróży. Premier zapowiada, że po realizacji ZSK będzie ich 800 mln rocznie. Rządowa strona programu jest bardziej powściągliwa. Przewiduje bowiem, że w 2050 r. kolej dalekobieżna osiągnie od 161 do 195 mln pasażerów, a regionalna od 476 do 588 mln. Autorzy programu podsumowują to prognozą około 720 mln podróży rocznie. 80 mln mniej od Tuska. Aha, w latach 80. kolej woziła przecież nawet 1,2 mld pasażerów rocznie. Tyle że były to czasy, gdy liczba samochodów na drogach miała się nijak do obecnej. Choć gdyby dziś uruchomić 10 dodatkowych składów do Krakowa, wszystkie pojechałyby pełne. Kłopot polega na tym, że na torach po prostu nie ma już miejsca. Do tego dochodzi brak taboru.

I tu zaczyna się polska kolejowa metafizyka. Mamy bowiem pasażerów, których już dziś trudno pomieścić, pociągi, których brakuje, tory, na których nie ma miejsca, a jednocześnie opowiadamy o setkach milionów dodatkowych podróży, które mają się na tych torach pojawić.

Powiat z Pendolino

Najładniej sprzedaje się zapowiedź, że kolej dalekobieżna będzie dostępna w każdym powiecie. Polska ma 314 powiatów i 66 miast na prawach powiatu. Słuchając premiera można było pomyśleć, że gdzieś już pracuje brygada mająca zapędzić Pendolino do każdego miasta powiatowego. Tymczasem rządowa dokumentacja ZSK doprecyzowuje, że chodzi o zapewnienie wszystkim miastom powiatowym dostępu do kolei dalekobieżnej bezpośrednio albo za pośrednictwem kolei regionalnej lub dowozowych autobusów. Zatem hasło „kolej dalekobieżna w każdym powiecie" znaczy, że mieszkaniec powiatu wsiądzie do autobusu, ten zawiezie go do innego powiatu, a dopiero tam człowiek zobaczy pociąg.

Kolejową rewolucję ma przeprowadzać system instytucjonalny, który od lat sam nie potrafi się do końca poukładać. Sto lat po utworzeniu przedsiębiorstwa Polskie Koleje Państwowe, PKP jest dla przeciętnego obywatela synonimem kolei, chociaż z rzeczywistym rynkiem kolejowym ma to coraz mniej wspólnego. W 2025 r. z 439 mln podróży tylko 139,6 mln odbyło się pociągami spółek Grupy PKP. Dwie trzecie rynku pasażerskiego obsługiwali przewoźnicy spoza Grupy PKP. Samo Polregio miało 102,6 mln podróży.

Polregio jest w połowie własnością państwowej Agencji Rozwoju Przemysłu, zaś drugie 50 proc. należy do 16 samorządów wojewódzkich. Oprócz tego mamy Koleje Mazowieckie, Koleje Śląskie, Łódzką Kolej Aglomeracyjną i innych przewoźników samorządowych, warszawską SKM oraz prywatnych i zagranicznych operatorów. Państwowość kolei nie zniknęła. Zniknęła jedynie jej organizacyjna jedność.

W towarach jest podobnie. W 2025 r. koleją przewieziono 217,8 mln ton ładunków, najmniej od 2002 r. Spółki Grupy PKP obsłużyły niespełna jedną trzecią tego rynku. Resztę wożą między innymi niemieckie DB Cargo, czeskie ČD Cargo, kolejowe spółki Orlenu, KGHM, Grupy Azoty i ArcelorMittal oraz prywatne firmy. PKP jest właścicielską „czapą" nad częścią kolejowych przedsiębiorstw i zajmuje się przede wszystkim dworcami oraz nieruchomościami.

Pod koniec 2023 r. Ministerstwo Infrastruktury zapowiadało doprowadzenie do końca przekazania PKP Polskim Liniom Kolejowym gruntów leżących pod zarządzanymi przez PLK liniami. Mamy październik 2026 r. i grunty nadal nie zostały przekazane. PKP ma obecnie 16,5 proc. akcji PKP PLK, zaś 83,5 proc. należy do Skarbu Państwa. PLK nie jest więc częścią Grupy PKP, tylko spółką nadzorowaną bezpośrednio przez Ministerstwo Infrastruktury. Jeszcze zabawniej jest z trójmiejską SKM. PKP ma w niej 71 proc. udziałów, a pomorski samorząd i miasta aglomeracji 29 proc. O przekazaniu przewoźnika samorządowi mówi się już trzecią dekadę.

Dworzec zarabiający na pociągu

PKP potrafi za to całkiem konkretnie wyceniać sam fakt zatrzymania pociągu na stacji lub dworcu, aby pasażerowie mogli wsiąść i wysiąść. Koleje Mazowieckie płacą za to w Jaktorowie 4,67 zł, Łódzka Kolej Aglomeracyjna w Strykowie – 6,55 zł, Polregio w Międzyzdrojach – 17,60 zł, a PKP Intercity – 35,20 zł. Na dworcu Kraków Główny koszt dla pociągu regionalnego wynosi 28 zł, a dalekobieżnego – 56 zł. W Warszawie Centralnej jest to odpowiednio 41,59 i 83,18 zł. Opłata dworcowa obowiązuje od 2019 r. W 2025 r. przyniosła PKP 115,3 mln zł. Mimo to spółka uważa, że utrzymanie dworców wymaga dodatkowego finansowania publicznego. Nie byłoby w tym nic szczególnie dziwnego, gdyby pasażer otrzymywał w zamian czynny dworzec, gdy jeżdżą pociągi. W Kłodawie budynek jest jednak otwarty od poniedziałku do piątku między 8 a 16, choć pociągi kursują przez cały tydzień mniej więcej od 4.51 do 21.12. Jednocześnie centrala PKP, mimo kurczenia się kolejowego imperium, rośnie administracyjnie. W 2012 r. miała 12 biur. Dziś ma ich 27. Cztery powstały już za zarządu powołanego w 2024 r. Kolej może więc mieć problem z dzieleniem torów, gruntów i kompetencji, ale z dzieleniem biur radzi sobie wyśmienicie.

Na kolej przeznaczono z KPO ponad 18,1 mld zł. Z tego 10,6 mld zł skierowano na inwestycje w linie kolejowe. Tyle że raport NIK pokazuje, co potrafi dziać się między ogłoszeniem inwestycji a jej ukończeniem. Izba skontrolowała osiem dużych inwestycji kolejowych realizowanych w latach 2017-2024 o łącznym koszcie 8,49 mld zł. Znalazła nierzetelnie przygotowaną dokumentację, błędy w planowaniu i programach funkcjonalno-użytkowych oraz nieefektywny monitoring inwestycji. Opóźnienia sięgały pięciu lat, a koszty wzrosły prawie o 500 mln zł, czyli o 5,8 proc. Na jednej z budów ponad półtora roku plac był źle zabezpieczony. Doszło do 31 kradzieży infrastruktury o wartości około 12,5 mln zł.

Jest jeszcze pasażer. Ten, który nie żyje w 2050 r., nie jedzie modelowym pociągiem 350 km/godz. i nie podziwia przyszłej magistrali, tylko stoi na peronie. W pierwszym kwartale 2026 r. do stacji końcowej punktualnie dotarło 64,3 proc. pociągów PKP Intercity. Rok wcześniej było to 78,9 proc. W drugim kwartale wskaźnik poprawił się do 68,2 proc., ale rok wcześniej wynosił 80,6 proc. Dla całego rynku pogorszenie było znacznie mniejsze. W pierwszym kwartale ogólna punktualność przewozów pasażerskich spadła z 92,85 do 87,7 proc., a w drugim z 93,3 do 89,3 proc. Warszawska Kolej Dojazdowa osiągnęła w drugim kwartale 99,8 proc., zaś trójmiejska SKM 97,2 proc.

I dlatego na razie najdłuższą siecią stworzoną przez rząd jest sieć kolejowych zapowiedzi. I ta faktycznie obejmuje już całą Polskę.

Stefan Płonicki

eprasa.pl 245d7ac281

Wstrząsy

Im bardziej zaostrza się przedwyborcza walka, tym więcej dziwnych zdarzeń dzieje się w polskiej polityce.

Ostatnie dni obfitowały w zaskakujące wydarzenia różnej wagi. Dowiedzieliśmy się o marcowym spotkaniu Władysława Kosiniaka-Kamysza z Donaldem Trumpem i z grubsza, jaki był przebieg ich rozmowy. Z wiedzy tej płyną kompromitujące prawicę wnioski i mogą wyniknąć niespodziewane dla niej konsekwencje.

Prezydent Nawrocki podpisał ustawę, którą wcześniej zablokował. To jego pierwsza porażka na tym polu.

Sędzia Sądu Okręgowego w Warszawie wydał tzw. list żelazny jednemu z najsłynniejszych zbiegów przed polskim wymiarem sprawiedliwości, byłemu wiceministrowi u Zbigniewa Ziobry Marcinowi Romanowskiemu. Wprawił tym w osłupienie prokuraturę i obóz rządzący. Chyba zaskoczył też popleczników i mocodawców uciekiniera.

Ruchy robaczkowe

Sprawa Romanowskiego jest niejednoznaczna. Zachwycony jest reprezentujący go mec. Bartosz Lewandowski, etatowy obrońca oskarżanych pisowców, ściśle powiązany z Ordo Iuris. Politycy z prawej strony rozstrzygnięcie sądu chwalą, choć z pewnym wahaniem w głosie. Tak jakby nie byli pewni, czy ich kolega stanąwszy przed obliczem Temidy aby nie będzie mówił zbyt wiele.

Politycy prorządowi list żelazny krytykują, wskazując m.in., że wydał go neosędzia, na dodatek mocno angażujący się w polityczne pyskówki na portalu X. Prokuratura od razu zapowiedziała zaskarżenie tej decyzji do sądu wyższej instancji. Powołuje się na przepis uchwalony w czasie rządów PiS (a w Ministerstwie Sprawiedliwości – Ziobry z Romanowskim!), zgodnie z którym nie można wystawiać listów żelaznych przy sprzeciwie prokuratury – a tym razem został on wyrażony. Jednak przepis ten wywołuje spory interpretacyjne w orzecznictwie. Sądy przeważnie uznają, że sprzeciw prokuratora nie może być bezwzględnie wiążący, gdyż narusza to zasadę samodzielności jurysdykcyjnej sądów i trójpodziału władzy. Tak się wszystko poplątało: obóz demokratyczny korzysta ze zmian w prawie, którym zarzucał wcześniej sprzeczność z zasadami praworządności, podważając przy okazji praktykę rozproszonej kontroli konstytucyjności przez sądy powszechne (którą w latach 2015-2023 lansował); zaś twórcy kontrowersyjnych rozwiązań legislacyjnych wzywają do ich zignorowania.

Nie sądzę, by Romanowski po uzyskaniu takiego listu – zamiast przyjechać do Polski – jeszcze bardziej rozpłynął się w powietrzu i być może za jakiś czas odnalazł np. w Ameryce Trumpa. Automatycznie zostałby anulowany Europejski Nakaz Aresztowania, a Interpol już wcześniej wycofał tzw. czerwoną notę w jego sprawie, więc mógłby swobodnie podróżować po świecie.



Jednak podejrzewam, że stawiłby się w prokuraturze i sądzie, a odpowiadając z wolnej stopy i bezczelnie kłamał jak z nut (jako oskarżony nie ponosi z tego tytułu odpowiedzialności). Jeśli zostałby skazany, i tak ułaskawi go Nawrocki. W dość komfortowych – zwłaszcza w porównaniu z Naddniestrzem – warunkach stałby się męczennikiem prawicy. Może nawet rozbroiłby bombę Funduszu Sprawiedliwości. A to mogłoby jeszcze bardziej zirytować zwolenników koalicji 15 października, wciąż czekających na rozliczenie poprzedniej ekipy.

Wstrząs sejsmiczny

Ustawa wprowadzająca podatek od nadzwyczajnych zysków koncernów paliwowych, którą podpisał Karol Nawrocki, ma nie tylko sens ekonomiczny, bezpośrednio odczuwalny przez wszystkich kierowców, a pośrednio – przez wszystkich obywateli. Ceny paliw płynnych wywindował na całym świecie „przyjaciel" (obaj się do tego przyznają, choć ewidentnie z powodów czystej polityki, a nie wzajemnego szacunku; urzeczenie, fascynacja działają tylko w jedną stronę) głowy naszego państwa Donald Trump. Rząd nie mógł tego zlekceważyć, ale również nie mógł powtórzyć manewru z wiosny oraz sierpnia – programu CPN – ze względu na olbrzymie koszty dla i tak napiętego do granic możliwości budżetu. Znany w ekonomii podatek – z angielska nazywany *windfall tax*, co w swobodnym tłumaczeniu można określić jako „podatek od manny z nieba" – zmusza firmy zajmujące się produkcją benzyn i oleju napędowego oraz ich obrotem do podzielenia się z budżetem częścią niespodziewanych i niezasłużonych przychodów. Z tego finansowane są obniżki cen na stacjach.

Pierwszą ustawę Nawrocki odesłał przed podpisaniem do Trybunału Konstytucyjnego Bogdana Święczkowskiego, gdzie oczywiście utknęła na dobre. Nawet gdyby ten organ nie był wewnętrznie sparaliżowany, z góry wiadomo, jaki wydałby wyrok – i wiadomo, że jego orzeczenie nie zostałoby przez rząd uznane. Ale prezydenckiego podpisu by nie było, ustawa nie weszłaby w życie, podatek nie zostałby pobrany, a ceny paliw nadal biłyby rekordy.

Rząd wniósł ten sam projekt ponownie, a parlament go uchwalił. To utarta już forma presji na Nawrockiego. Do tej pory była stosowana przy okazji ustawy towarzyszącej rozporządzeniu UE w sprawie rynku kryptowalut, w wypadku którego kontredans objął jak dotąd trzy cykle (ustawa, weto, ta sama ustawa, znów weto itd.). Prezydent i jego kanceliści twardo twierdzili, że jeśli na biurko głowy państwa trafia ten sam akt prawny, który został wcześniej zablokowany, to ponowna decyzja nie może być inna od poprzedniej. Otóż tym razem okazało się, że może. To przełom, precedens, zachęta dla Donalda Tuska, by kontynuować nacisk. Nawrockiemu nie tylko nie udaje się doprowadzić do uchwalenia ustaw, których projekty sam wnosi, ale też ustępuje wobec przedłożeń rządowych. Czekamy teraz na przełamanie kolejnego tabu: odrzucenie jakiegoś głupiego weta.

Wstrząs atomowy

Europoseł PiS i szara eminencja tej partii Adam Bielan (któremu udało się też zbudować bliskie relacje z ludźmi z drugiego szeregu w Białym Domu, posiadającymi bezpośredni dostęp do ucha jego obecnego lokatora) sam, z własnej i nieprzymuszonej woli, przyznał, że w marcu zorganizował dziesięciominutowe *tête-à-tête* Trumpa z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem. Jego współorganizatorem była Kancelaria Prezydenta RP, co potwierdził etatowy doradca Nawrockiego do spraw zagranicznych Nikodem Rachoń. To brat Michała, niesławnego nienawistnika z TVP Jacka Kurskiego, a obecnie TV Republika. W czasach rządów PiS pracował w polskiej ambasadzie w USA, a obecnie razem z Bielanem tworzy waszyngtoński tandem Nawrockiego i PiS, a może i całej polskiej prawicy.

Otóż w czasie wspomnianej rozmowy, jak wynika z relacji „dobrze poinformowanych źródeł", Trump miał nakłaniać prezesa PSL i wicepremiera polskiego rządu do zmiany frontu i związania się z obozem narodowej prawicy, z którym sympatyzuje gospodarz Gabinetu Owalnego. Potwierdza to wpis Radosława Sikorskiego na X, w którym domagając się od Kancelarii Prezydenta notatki z tamtego spotkania, dodał: „Czyżby (ona nie dotarła) dlatego, że spotkanie służyło też próbie zaangażowania obcego państwa w naszą wewnętrzną politykę?".

Wynika z tego, że Kosiniak-Kamysz zrelacjonował przebieg marcowej konwersacji Sikorskiemu, a z pewnością też i Tuskowi. Jak zareagował wobec Trumpa, nie wiemy. Znając jednak skłonności obecnego prezydenta USA do niepohamowanego monologowania, raczej założyłbym, że zachował twarz pokerzysty – bo i tak nie mógł się przebić przez słowotok interlokutora. Faktem natomiast jest, że cała „miłość" obecnej amerykańskiej administracji do powiększania obecności militarnej w Polsce (5 000 żołnierzy więcej, stała baza) wybuchła po audiencji w Białym Domu.

Politycy z różnych krajów, reprezentujący podobne nurty ideowe, rozmawiają ze sobą, wymieniają się opiniami, czynią wobec siebie miłe gesty, czasem nawet się zaprzyjaźniają. Jednak wygląda na to, że polska „suwerenistyczna" prawica, wymachująca sztandarem z Bogiem, honorem i Ojczyzną, jest całkiem chętna, by przekształcić Polskę w protektorat mocarstwa zza oceanu.

A to już brzmi niebezpiecznie.

Jakub Jabłoński

eprasa.pl 245d7ac281

Nr 41 (317) 9-15.10 2026 r. F!

Mielone zwycięstwo



Zbiegły się dwie, jakby politycznie wykluczające się, daty.

Dwadzieścia pięć lat temu nowo wybrany prezydent Rosji Władimir Putin wygłosił historyczne przemówienie w Bundestagu obiecując, że „Rosja nigdy więcej nie wróci do przeszłości ani nie pójdzie drogą totalitaryzmu". Putin przemawiał w Reichstagu krótko po przerażającym ataku terrorystycznym 11 września w Nowym Jorku i, oczywiście, ostro potępił globalny terroryzm i przemoc jako taką.

Krótka pamięć

Pięć lat później, w październiku, podczas Marszu Niezgody w Petersburgu, przelano pierwszą krew pokojowo nastawionych obywateli Rosji. Protestujący wyszli na ulice z hasłami: „Potrzebujemy innej Rosji!", „Rosja bez Putina!", „Nie dla państwa policyjnego!", „Precz z władzą czekistów!" i „Wolność dla więźniów politycznych!". Pięć lat zajęło masom, żeby przejrzeć na oczy. Ci, którzy przejrzeli, leżeli z nosami na asfalcie. Najbardziej bezkompromisowi zostali rozstrzelani, otruci lub uwięzieni. Niektórzy uratowali się dzięki emigracji.

„25 lat temu w Berlinie Putin, używając języka z jego przestępczego półświatka, *zrobił frajerów w balona*. Ci, którzy nie znali jego przeszłości, uwierzyli mu. Wtedy nie miał żadnej ideologii. On i jego banda doszli do władzy, by kraść i wygodnie żyć. Ci, którzy przeszkadzali im w kradzieżach, zostali zabici. 20 lat temu głowa Putina została wypełniona imperialnymi bzdurami. Kremlowscy duchowni i filozofowie przekonali go, że *został zesłany przez Boga, by zbawić i zachować Rosję*. Jestem pewien, że Putin nie pamięta już przemówienia, które wygłosił w Reichstagu 25 lat temu" – mówi mieszkający w warszawie pisarz Wiktor Szenderowicz.

Wbrew obietnicom, ćwierć wieku później Putin przywrócił w Rosji monopartyjny system radziecki. W tak zwanych wyborach do Dumy Państwowej rządząca partia Jedna Rosja miała odnieść absolutne zwycięstwo. Obecnie, spośród 450 deputowanych do Dumy Państwowej, Jedna Rosja ma 349 miejsc. Pozostałe zajmują komuniści, Nowi Ludzie, Liberalni Demokraci (nowicjusze z gniazda Żyrinowskiego) i „Socjaliści-Rewolucjoniści" (to ironiczna nazwa partii Związek Sił Prawicowych), którzy depczą jej po piętach.

Czy „wybory" umocniły władzę dyktatora? Czy w ogóle możliwa jest zmiana systemu politycznego w Rosji poprzez proces wyborczy? Czy Putin nadal stanowi realne zagrożenie dla Zachodu, czy też dyktator jest zmuszony blefować, szantażując świat nuklearnym przyciskiem? Na te i inne pytania odpowiada znany politolog Dmitrij Orieszkin.

Anton Arbatow: Putin nazwał „wybory" do Dumy Państwowej referendum popierającym armię rosyjską. Brzmi to jak usprawiedliwienie i apel do znużonej wojną opinii publicznej o poparcie jego maniakalnego pomysłu kontynuowania bezsensownego rozlewu krwi. Putin nie może powstrzymać wojny, bo „jastrzębie" mu nie wybaczą. Ale staje się też coraz bardziej oczywiste, że nie może jej wygrać, ponieważ kończy się potencjał gospodarczy Rosji. Dmitriju, czy społeczeństwo jest nadal gotowe udawać, że popiera politykę Kremla?

Dmitrij Orieszkin: Pionowa struktura władzy Putina będzie stabilna, dopóki będą środki na utrzymanie kontroli nad całą Rosją. Dopóki będą fundusze na opłacanie sił bezpieczeństwa i walkę z opozycją, reżim Putina będzie niezachwiany. Kiedy te środki się wyczerpią, te same prowincje powiedzą Putinowi, Kremlowi i Moskwie, żeby się odczepili. Tak upadł Związek Radziecki. Byłe republiki radzieckie radośnie uciekły do swoich ojczyzn. Mówienie o „wyborach" w Rosji jako narzędziu zmiany władzy jest bezcelowe. Nic od nich nie zależy. Są jedynie historycznym rytuałem. Tego systemu nie da się zmienić pokojowo. Może się jedynie całkowicie zawalić. To sztywna, pionowa struktura władzy, pozbawiona elastyczności i zdolności adaptacji do sytuacji.

Młynek do mielenia wojennego mięsa będzie się kręcił, dopóki naród rosyjski nie przekona się, że obiecane przez Putina zwycięstwo nie zmaterializowało się i nie zmaterializuje. Wojna będzie trwała, a naród, jak słusznie zauważyłeś, będzie udawał, że popiera Putina. Ale takich „patriotów" jest coraz mniej. Za Putinem stoi wojsko. On odbudował sojusz z czasów radzieckich między nomenklaturą partyjną a siłami bezpieczeństwa. Co więcej, ma poparcie pewnej części starszego elektoratu, który marzy o odrodzeniu ZSRR. Wierzy, że są otoczeni przez wrogów i muszą zjednoczyć się wokół przywódcy, choć to oczywista głupota.

Putin straszy Rosjan zagrożeniem nuklearnym ze strony Zachodu, Zachód zaś szantażuje swoim arsenałem. Myślisz, że „przeciętny mieszkaniec Zachodu" rozumie, że Putin blefuje? A może naprawdę boi się rosyjskiej „nuklearnej pałki"?

Putin skupił poparcie społeczne na logice suwerenności: „zjednoczcie się, zaciśnijcie pasa, zaciśnijcie zęby, chcą nas zniszczyć". Nikt nie planuje ataku na Rosję! Zachód ma mnóstwo własnych problemów. Ale dla rosyjskiego społeczeństwa ta mitologia jest kluczowa. I Putin sprytnie ją wykorzystuje. Dopóki żyje, nie będzie zmian. Dla niego pojednanie to katastrofa. Wojna i groźby to jedyne narzędzia polityczne Putina. Zachód daje powody, by podejrzewać go o niezdecydowanie, a nawet tchórzostwo, ale takie nastroje stają się coraz rzadsze.

Demokracja patchworkowa

Pomarzmy Dmitriju. Czy demokracja w Rosji jest możliwa?

Nie tylko możliwa, ale i realna. Ale tylko pod warunkiem, że Rosja rozpadnie się terytorialnie. Odpowiedzmy na proste pytanie: co zrobi Kadyrow, przywódca Czeczenii, i jego następcy w demokratycznym systemie w Rosji? Mają za sobą dziedzictwo rozlewu krwi, morderstw, tortur, prześladowań i porwań. W demokratycznym państwie prawa Kadyrow i jego otoczenie powinni siedzieć w więzieniu. Co im pozostanie? Albo rozpocząć wojnę z Moskwą w obronie swojego północnokaukaskiego emiratu, opartego na sunnickich wartościach, albo wyemigrować. Nie będą w stanie współdziałać z demokratycznym rządem. Ale Czeczenia to tylko część ogromnego terytorium Rosji. Nacjonalistyczne, odśrodkowe nastroje są silne w Tatarstanie, Baszkirii, Buriacji i Tuwie. Integralność terytorium Rosji trzyma się na bagnetach.

Demokracja nie jest możliwa na wszystkich terytoriach Rosji. Najbliżej tego, zarówno geograficznie, jak i mentalnie, jest obwód kaliningradzki. Mieszkańcy Kaliningradu widzą siebie żyjących w sąsiedniej wolnej Polsce i na Litwie. To oni jako pierwsi odłączą się od Rosji po upadku reżimu Putina.

Wielokrotnie przewidywałeś możliwy, jeśli nie nieunikniony, rozpad terytorialny Rosji. Jak to teraz widzisz?

Narastające kontrasty terytorialne są oczywiste. Krym przemilczmy. Rozpadowi Rosji, w przeciwieństwie do upadku ZSRR, będzie towarzyszył ogromny rozlew krwi. Gorbaczowowi i Jelcynowi udało się ostatecznie zapobiec wojnie domowej podczas upadku Związku Radzieckiego. Owszem, w Wilnie polała się krew, a siły specjalne użyły saperów, ale ofiar nie liczyliśmy w setkach. Kolejny cykl upadku Rosji będzie bardziej krwawy również dlatego, że Putin zniszczył instytucje prawne. ZSRR rozpadł się wzdłuż istniejących granic administracyjnych. Rozpad Rosji pod rządami Putina będzie porównywalny z wybuchem bomby atomowej. Nikt nie zostanie oszczędzony. Jej sąsiedzi również.

Anton Arbatow, Moskwa
przekład Marta Hofman



Dmitrij Orieszkin jest politologiem i jednym z czołowych ekspertów w dziedzinie rosyjskiego systemu wyborczego. Urodził się w Moskwie w 1953 r. Ukończył Wydział Geografii Uniwersytetu Moskiewskiego i studia podyplomowe w Instytucie Geografii Akademii Nauk ZSRR. Posiada tytuł doktora hab. nauk geograficznych. Jest autorem historyczno-politycznego bestsellera „Dżugofilia i radziecka epopeja statystyczna". W Rosji jest uznawany za „agenta zagranicznego".

eprasa.pl 245d7ac281

Krasnow zmartwychwstały

NATO powstało jako sojusz obronny na wypadek ataku ZSRR. Dziś lider paktu, prezydent USA, jako jedyny na Zachodzie konsekwentnie żywi przyjacielskie uczucia wobec zbrodniczego dyktatora Rosji; odmawia pomocy ofierze jej agresji, gromi natowskich sprzymierzeńców. Obrót sprawy, którego dekadę temu nikt nie brał pod uwagę.

Trump zaprosił Putina na szczyt G-20 do Trump National Doral Miami Club na 14-15 grudnia. Zapewne wbrew radom swych doradców i opiniom sojuszników z Paktu Północnoatlantyckiego. Białodomowe papugi przekonują teraz, że umożliwi to zakończenie wojny z Ukrainą. Poprzednie zaproszenie kremlowskiego tyrana, które przerwało jego międzynarodową izolację, zaowocowało sceną, gdy rozpromieniony jak nigdy Trump rozwinął przed Putinem czerwony dywan w sierpniu 2025 r. w Anchorage na Alasce. Przyniosło zero efektów. Poza tym, że zakończyło dyplomatyczną banicję Putina. Nieco wcześniej, w sierpniu, TrumpoAmeryka zaprosiła na szczyt światowych liderów finansów w Asheville w Karolinie Płn. rosyjskiego ministra finansów Antona Siłuanowa. We wrześniu sekretarz stanu Marco Rubio gwarzył w ONZ ze swoim odpowiednikiem Ławrowem.

Dezaprobaty wobec zaproszenia Putina nie kryje większość republikańskich podwładnych Trumpa w Kongresie. Konserwatywny „The Wall Street Journal", własność ultraprawicowca Ruperta Murdocha, zamieścił komentarz redakcyjny, w którym czytamy: „Zaproszenie dyktatora na G-20 jest moralnie odstręczające. Co gorsza, może wywołać u niego przekonanie, że bezpośredni atak na NATO ujdzie mu płazem. Zaproszenie z USA daje rosyjskiemu liderowi szansę pokazania Rosjanom, że nie jest już wyrzutkiem bez wstępu na scenę światową". Autorzy czołowego biznesowego dziennika przytaczają ostrzeżenie duńskiego wywiadu wojskowego: Rosja może testować gotowość NATO do odparcia ograniczonego ataku militarnego. Duńczycy nie są jedynymi – pisze „WSJ" – podobne sygnały napływają od wielu wysoko postawionych oficjeli europejskich. Bliźniacze oszacowanie sporządził wywiad USA.

Rachunki do spłacenia

W ostatnich dniach września „The Washington Post" napisał o tajnych rozmowach amerykańsko-rosyjskich. Ich tematem jest zniesienie barier ochronnych pomiędzy sztuczną inteligencją a systemami uzbrojenia. Trump już wcześniej stanowczo odrzucił alarmujące ostrzeżenia szefów korporacji AI, szczególnie Daria Amodei, prezesa Anthropic. On i jego badacze twierdzą, że sztuczna inteligencja jest w stanie wyrwać się spod kontroli ludzkiej, a nawet zgładzić ludzką cywilizację. Dopuszczenie jej do struktur sił zbrojnych, szczególnie jądrowych, nadaje ostrzeżeniom specjalistów zatrważający wymiar. Rozmowy na ten temat USA-Rosja nie odbiły się echem w mediach mainstreamowych Stanów. Komentatorka Rachel Maddow z liberalnej sieci TV MS Now, jako jedna z nielicznych w branży, pyta retorycznie: „Dlaczego to robimy?".

„The Atlantic" pisze o innych zakulisowych knowaniach Trumpa. John Coale, jego poseł do Europy Wschodniej, namówił pryncypała, by zaproponował Putinowi interes: wy uwolnicie część więźniów politycznych, my zaś w zamian zniesiemy niektóre sankcje nałożone na Rosję. Tu należy zwrócić uwagę, że niedawno Trump podpisał (z ociąganiem) zgodę pod ustawą przewidującą nałożenie nowych sankcji na Rosję. Jej inicjatorem był zmarły niedawno senator republikański i bliski sojusznik Trumpa, Lindsey Graham. Ustawa miała poparcie ogromnej większości Kongresu. Obecnie, zanim jeszcze weszła w życie (przewiduje nałożenie 100 proc. sankcji na import z krajów, które handlują na szerszą skalę z Rosją i Iranem), Trump występuje z przeciwstawnym pomysłem: poluzowania restrykcji gospodarczych. Jeśli nawet Rosja wypuści dysydentów, to może wkrótce aresztować innych, by mieć towar do wymiany z Ameryką. Wielu członków Kongresu jest zdania, że sankcji nie można łagodzić, zanim Putin nie zaprzestanie agresji na Ukrainę; identyczne podejście ma prezydent Zełenski. Lecz Coale kusi Trumpa wizją dochodów po wznowieniu relacji handlowych z Rosją, szczególnie w sferze energii i zakupu minerałów.



Sympatie dyktatorskie Trumpa przekładają się na decyzje polityczne supermocarstwa, lecz mają także wektor familijny. Niedawno Ameryką wstrząsnęła wieść o tym, że huczny ślub syna cara USA, Donalda juniora, na Wyspach Bahama sfinansował (jak ujawnił portal ProPublica – setkami tysięcy dolarów) rosyjski oligarcha, były bokser i kryminalista (zmienił nazwisko na Umar Kremliow, by wyroki się za nim nie wlekły). Na trzydniowej bahamskiej balandze bawiła się, oprócz Kremliowa, duża grupa rosyjskich typków – oficjalnie z biznesu bokserskiego. „Mam zaszczyt nie tylko go znać, ale i nazywać przyjacielem" – próbował neutralizować medialne grzmoty junior. Jego tata oświadczył, że nie widzi nic zdrożnego w tym, że rachunki weselne syna lidera USA pokrył Rosjanin, który dopiero co wrócił z delegacji z Putinem.

Ogłupić wyborcę

Z końcem września ukazała się na rynku wydawniczym USA książka Davida Corna, znanego publicysty. Tytuł rekapituluje treść: „Jak Rosja wygrała: Donald Trump, Władimir Putin i walka o Amerykę". Książka analizuje rosyjskie ingerencje wyborcze, które pełną parą rozpoczęły się w 2016 r. Teraz, przed listopadowymi wyborami do Kongresu, Putin zarządził ich aktywację. Corn przypomina spotkanie w Trump Tower z czerwca 2016: Trumpa juniora, szefa kampanii wyborczej Paula Manaforta oraz zięcia Trumpa Jareda Kushnera z rosyjską prawniczką Natalią Weselnicką, powiązaną ze służbami wywiadowczymi Rosji. Zaproponowała pomoc w kampanii Trumpa. „Jestem zachwycony" – brzmiała odpowiedź juniora T. Zaraz potem WikiLeaks opublikowało zhakowane przez rosyjski wywiad prywatne maile działaczy Partii Demokratycznej, które miały opluskwić kandydatkę Hillary Clinton. Corn analizuje kontakty Manaforta z agentem moskiewskim Konstantinem Kilimnikiem, współpracę ówczesnego adwokata Trumpa Rudolfa Giulianiego z rosyjskimi agentami w 2020 r. oraz inne podobne przypadki komitywy.

Kiedy Trump powrócił do władzy, zlikwidował urzędy oraz federalne agencje śledzące i zwalczające dezinformacje rosyjskie w USA: Foreign Influence Task Force w łonie FBI, Foreign Malign Influence Center przy biurze koordynatora wywiadów Director of National Intelligence oraz pokrewne komórki w Departamencie Stanu. Zdyskredytował ludzi, którzy oskarżali Rosjan o ingerencje przedwyborcze. Putin zdał sobie sprawę, że może bezkarnie wpływać na wyniki wyborów w USA, biorąc stronę Trumpa – konstatuje Corn. Rosjanie zaszczepiają wymierzone w demokratów fałszywki w prawicowych portalach amerykańskich, skąd bez przeszkód emanują one do platform X i YouTube, do mediów szerokiego obiegu. Ludzie Putina intensywnie stosują do tego sztuczną inteligencję, preparując fałszywe nagrania. Jedno z ostatnich zawierało rzekome wypowiedzi gwiazd Hollywoodu, apelujące do wyborców, by nie głosowali na kandydatów demokratycznych.

„Bardzo trudno to zwalczać, szczególnie jeśli się w ogóle nie próbuje" – konstatuje Corn. Jedna z fałszywek odwróciła o 180 stopni analizy samego Corna. „To preludium bardziej wyrafinowanych operacji wprowadzających w błąd, które będą się pojawiać w miesiącu, jaki pozostał do wyborów. Oni są dobrzy w akcjach w ostatnich przedwyborczych dniach, gdy nie ma czasu, by je dyskredytować. Są w stanie produkować i wszczepiać do portali społecznościowych 30 tys. fałszywek miesięcznie. Putin usiłuje przekonać Amerykanów, że demokracja nie działa, nie można wierzyć w wyniki wyborów, potrzebny jest mocny człowiek, który zagwarantuje państwu bezpieczeństwo" – zapewnia Corn. W Rosji istnieją dobrze zorganizowane farmy trolli oraz sieci zagranicznej dezinformacji, np. Storm 1516, Storm 1679 czy Matrioszka.

W pierwszej kadencji Trumpa i nieco później w USA pojawiały się szokujące enuncjacje byłych oficjeli wywiadu rosyjskiego. Według nich Trump jest agentem Rosji o kryptonimie Krasnow. Wedle pokrewnej wersji, Putin jest w posiadaniu nagrań zdolnych doszczętnie go skompromitować. Po 2024 r. ten nurt doniesień wyciszył się, bo Amerykanie ponownie wybrali Trumpa na głowę państwa. Teraz niepojęte posunięcia Trumpa i działania Putina dostarczają silnych poszlak, że trop Krasnowa nie musiał być fałszywy.

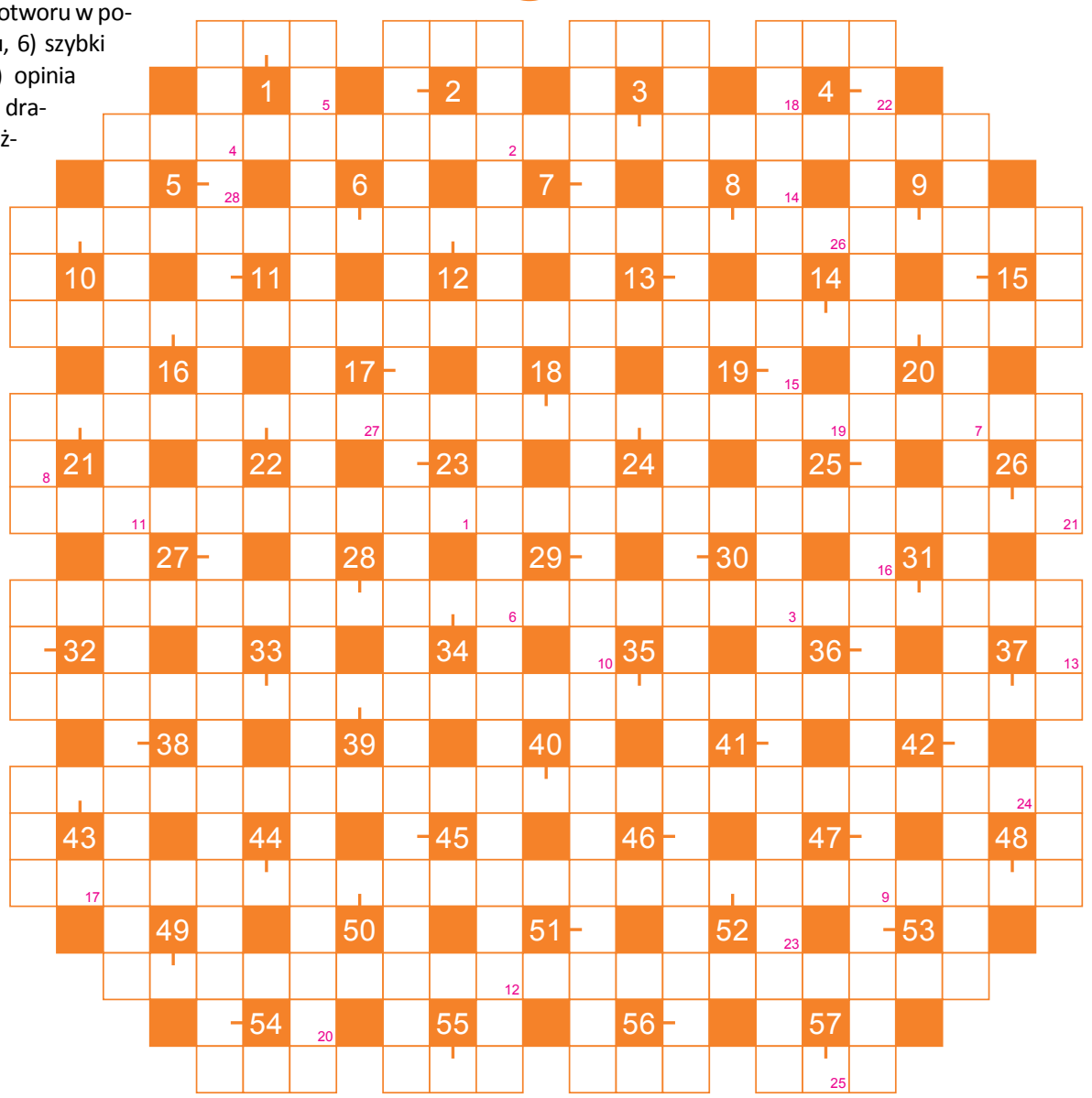
Janusz Zawodny, Tampa (Floryda)

eprasa.pl 245d7ac281

WIRÓWKA

Pierwszą literę odgadniętego hasła wpisujemy do zaznaczonego pola, a następnie prawoskrętnie. Litery z pól ponumerowanych w prawym dolnym rogu utworzą rozwiązanie.

1) odważny i nieostrożny, 2) komplet liter od A do Z, 3) brezent wokół otworu w pokładzie, 4) krótka gruba kiełbaska, 5) śniadanie z płatków na mleku, 6) szybki ssak z rogami, 7) czeka w ścianie na wtyczkę, 8) narząd lotu ptaka, 9) opinia o dziele, 10) krótki utwór z tekstem i melodią, 11) głośna kłótnia lub draka, 12) długa cienka bułka, 13) obrany zwrot lub tendencja, 14) mężczyzna z niemocą płciową, 15) biała róża z warzywniaka, 16) prawda brzmiąca niedorzecznie, 17) most niosący wodę, 18) rozstrzyganie sporu poza sądem, 19) łagodniejsze słowo zamiast dosadnego, 20) zapasy jedzenia na drogę, 21) drewno na ścianie, 22) płaszcz na chłody, 23) instrument z miechem i klawiszami, 24) relacja z prawdziwych wydarzeń, 25) papierowa osłona książki, 26) trzyma fason buta, 27) twardy włoski ser do tarcia, 28) mały czerwony owoc z pestką, 29) mocna racja w dyskusji, 30) robi portrety aparatem, 31) bębenek z blaszkami, 32) lekarski wywiad z pacjentem, 33) surowiec na świece, 34) kwaśne czerwone jagody, 35) utrzymuje ciśnienie w wodociągu, 36) tło wydarzeń w filmie, 37) czas zabaw przed postem, 38) miejsce, gdzie powstaje gazeta, 39) ścina papier albo głowy, 40) tężeje w galaretę po ostygnięciu, 41) ujemna cząstka atomu, 42) zapas nabojów do walki, 43) tył auta na walizki, 44) gruczoł u podstawy szyi, 45) walczy z bykiem na arenie, 46) zamyka się z kliknięciem, 47) dawna nazwa samolotu, 48) datek dla ubogiego, 49) dawne naczynie na atrament, 50) świeca na burzę i pogrzeb, 51) wysoki kapelusz o walcowatej główce, 52) sądowe starcie stron, 53) sklepowe liczenie zapasów, 54) drukarska literka z metalu, 55) bulwa na frytki lub purée, 56) drut, który wraca do kształtu, 57) oszczędność posunięta za daleko.



Rozwiązania krzyżówki prosimy nadsyłać w terminie 7 dni od ukazania się aktualnego numeru „FpM” na adres: krzyzowka@faktypomitach.pl lub pocztą pod adresem redakcji: „Fakty po Mitach”, ul. Łąkowa 11, 90-562 Łódź (biurowiec Tower Building).

Przesyłając rozwiązanie krzyżówki wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez administratora w celu przeprowadzenia konkursu/krzyżówki, w tym publikacji w „FpM” imienia, nazwiska i miejscowości zwycięzcy. Regulamin na stronie www.faktypomitach.pl

Rozwiązanie krzyżówki z numeru 39/2026:
„PODOBNIE BYŁO U MNIE, GDY KUPIŁEM TEŚCIOWEJ WALIZKĘ”.
Nagrody otrzymują: Ewa Klajsek z Cieszyna, Bronisław Małecki z Gdańska, Piotr Krysta z Jeleniej Góry.

Mąż mówi do żony:
– Widziałaś tę reklamę kosmetyku upiększającego z gwarantowanym efektem?
– Tak, już dawno kupiłam i stosuję.

– 1 2 | 3 4 5 6 | 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16, 17 18 | 19 20 | 21 22 23 24 25 26 27 28.

Stalker w sutannie

Miał śledzić chłopca i robić mu zdjęcia z ukrycia. Prokuratura zarzuca ks. Karolowi H. stalking małoletniego. Duchowny trafił do aresztu.

Mężczyzna usłyszał zarzut uporczywego nękania pokrzywdzonego w okresie od stycznia 2025 r. do 18 sierpnia 2026 r. Według zgromadzonego materiału dowodowego, jego działania miały charakter długotrwały i systematyczny, a ich skutkiem było wzbudzenie u pokrzywdzonego uzasadnionego poczucia zagrożenia, poczucia udręczenia oraz istotne naruszenie jego prywatności – informuje prokurator Krzysztof Ciechanowski, rzecznik Prokuratury Okręgowej w Rzeszowie.

Karol H., wikariusz jednej z parafii w Głogowie Małopolskim i katecheta, miał wielokrotnie kontaktować się z nastolatkiem przez SMS-y i portale społecznościowe. W wiadomościach sugerował, że wie, gdzie chłopak przebywa i czym się w danej chwili zajmuje, a także że ma informacje o jego rodzinie i najbliższym otoczeniu.

– Śledztwo wykazało, że podejrzany miał śledzić pokrzywdzonego w miejscach publicznych, wykonywać z ukrycia zdjęcia i nagrania dotyczące zarówno jego osoby, jak i miejsca zamieszkania. Materiały te następnie przesyłane były pokrzywdzonemu oraz innym osobom z jego otoczenia. Według ustaleń prokuratury, podejrzany kierował również wiadomości o charakterze zniesławiającym, groził spowodowaniem problemów osobistych oraz szantażował ujawnieniem informacji z życia prywatnego pokrzywdzonego – dodaje prokurator.

Ze względu na charakter zarzutów i wiek pokrzywdzonego prokuratura wystąpiła o areszt dla księdza. Sąd przychylił się do wniosku i zdecydował o tymczasowym aresztowaniu Karola H. Za przestępstwo z art. 190a par. 1 kodeksu karnego grozi od sześciu miesięcy do ośmiu lat więzienia.

Katarzyna Wilk-Wojtczak

Lekcja z księdzem

Do sądu trafił akt oskarżenia przeciwko ks. Januszowi Z. z parafii pw. św. Katarzyny w Goleniowie. Duchowny miał molestować ministranta podczas korepetycji. Teraz nie przyznaje się do winy.

Według informacji przekazanych przez Prokuraturę Okręgową w Szczecinie, 62-letni ksiądz jesienią 2015 r. „w krótkich odstępach czasu” i z góry powziętym zamiarem „dopuścił się innych czynności seksualnych” wobec 14-letniego ministranta.

– Oskarżony świadczył posługę duszpasterską w parafii na terenie jednego z miast województwa zachodniopomorskiego. Wówczas poznał pokrzywdzonego, który był ministrantem w tej samej parafii. Sprawca dopuszczał się wobec nastolatka innych czynności seksualnych podczas udzielania pokrzywdzonemu korepetycji – przekazała rzeczniczka Prokuratury Okręgowej w Szczecinie prokurator Julia Szozda.

O wszystkim miało wiedzieć Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie, pedagodzy, babcia i dziadek chłopca, a także proboszcz parafii. Nikt jednak nie zawiadomił policji i prokuratury. Śledztwo wszczęto dopiero we wrześniu ubiegłego roku, gdy sprawę nagłośnił Onet. Według ustaleń portalu, chodzi o duchownego ze zgromadzenia chrystusowców, który wcześniej posługiwał w USA i został „zesłany” do Polski, bo w Stanach Zjednoczonych był podejrzewany o „niewłaściwe zachowania”. Grozi mu od 2 do 15 lat więzienia.

KWW

eprasa.pl 245d7ac281



Potym na cały plech ciasto z orzechów wkidala
Na wyrchu polywóm z żółtek to równo pomazala
Jak się to upikło, na kónski porzazała
Na każdy kónszczek orzech jako ozdobe dała.

„Cieszyńskie ciastka” Tomasz Sochacki

O ciasteczkach cieszyńskich

Chyba powinnam się dobrze zastanowić, zanim wypowiem jakieś życzenie. Otóż któregoś roku, gdy zaczął się słoneczny czerwiec, zamarzyło mi się nicnierobienie. Tak poleżeć na huśtawce i czytać książki bez żadnych wyrzutów sumienia. No i zaraz potem dozorca umył schody. A ja zbiegałam, poślizgnęłam się, złamałam piątą kość śródstopia, co zakończyło się… gipsem na cztery tygodnie, więc i możliwością zalegania na huśtawce ze stosem książek.

W tym roku koleżanki pochwaliły się, że latem jadą do sanatorium do Ustronia Morskiego. Westchnęłam: „ja też bym tak chciała”. A dalej już wiecie: serce, szpital, OIOM i wczesna rehabilitacja kardiologiczna w… Ustroniu. Tyle że nie Morskim, a na Śląsku Cieszyńskim.

Na szczęście, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Było dzięki temu o kanapkach, a teraz będzie o cieszyńskich ciasteczkach, bo poznałam panie, które z nich słyną. Żebyście słyszeli, z jaką pasją o nich mówią! A jakie cuda pieką! Oglądałam fotografie, słuchałam opowieści i ślinka mi leciała.

Dawno

Podobno rytuał adwentowego pieczenia ciasteczek w gronie rodzinnym, zgodnie z przepisami przekazywanymi z pokolenia na pokolenie, pochodzi z XIX wieku i jest nierozerwalnie związany z kulturą Europy Środkowej, czyli Austrii, Czech, Niemiec oraz… Śląska Cieszyńskiego.

Jeśli jednak poszukać, to okazuje się, że nie tylko tu ludzie starali się jakoś osłodzić sobie życie. Z tabliczek klinowych znalezionych przez archeologów na terenie Ur, Nippur i Lagasz w Mezopotamii oraz z wykopalisk w egipskich grobowcach wynika, że coś w rodzaju ciasteczek (z miodem, daktylami, figami, orzechami, sezamem, mąką, oliwą) przygotowywano tam w celach rytualnych i składano podczas ceremonii religijnych w ofierze bogom, czyli kapłanom, choć z pewnością uatrakcyjniały także i królewskie uczty,

Grecy przejęli te zwyczaje, przygotowując coś w rodzaju małych słodkich kąsków lub płaskich chlebków z mąki z jęczmienia, słodzonych miodem i zagniatanych z suszonymi owocami, którymi dzielili się z okazji świąt, składali w ofierze.

W starożytnym Rzymie powstawały ciasteczka *libum* – dla bogów, a dla ludzi *globuli* – kulki nadziewane miodem i serem, prawdopodobnie smażone, lub *dulcia domestica* – suszone owoce zagniatane z miodem i mąką. To wtedy wymyślono także ciastka dwukrotnie pieczone, co przedłużało ich trwałość, więc mogli je ze sobą zabierać w drogę żołnierze wyruszający na kolejne podboje.

Średniowiecze to czas chrześcijaństwa, gdy mnożyły się posty, a mieszkańcy klasztorów w trosce o przetrwanie długich modłów przygotowywali sobie drobne słodkości, zwłaszcza na tak ważne święta jak Boże Narodzenie czy Wielkanoc. Mnisi wyjątkowo upodobali sobie miód, importowane przez kupców migdały oraz aromatyczne przyprawy z Orientu, cynamon, imbir, pieprz, goździki, które ponoć pomagały w skupieniu się na modlitwach. I jakoś się temu nie dziwię! To dzięki nim powstały chyba pierwsze cechy skupiające rzemieślników specjalizujących się w wypieku pierników i miodowników, których wyroby stały się symbolem świętowania, prestiżu, a także zdrowia, bo farmaceuci sprzedawali je jako lekarstwo. Nawet sama Święta Hildegarda z Bingen opisała pozytywny wpływ gałki muszkatołowej i pieprzu w piernikach oraz w pieprznych orzeszkach (*Pfeffernüsse*) na nastrój.

Na początku renesansu na koniec uczt wnoszono kunsztownie ułożone słodycze, wśród nich znajdowały się także ciastka wypiekane w rzeźbionych drewnianych foremkach. Wkrótce potem mieszczanie nieśmiało zaczęli przenosić te zwyczaje do siebie, przygotowując ciasteczka miodowe dla uczczenia świąt lub ważnych chwil w życiu.

Przełomem okazały się wyprawy Kolumba, który zabrał w kolejną podróż na nowy kontynent kilka sadzonek trzciny cukrowej. Dzięki temu cukier stał się produktem bardziej dostępnym, a słodyczami mogły delektować się już nie tylko elity.

Rok 1581 to ważna data w. historii europejskiego cukiernictwa. W Niemczech Marks Rumpolt, osobisty kucharz elektora Moguncji, wydał „Ein New Kochbuch”, książkę kucharską przeznaczoną dla kuchni arystokratycznych, w której znalazły się także przepisy na ciasteczka, herbatniki korzenne, kąski migdałowe, marcepan i inne wykwintne desery. Później powstawały kolejne książki kucharskie z przepisami, głównie na terenach niemieckojęzycznych, już dla zwykłych ludzi, więc tamtejsze mieszczańskie gospodynie domowe zaczęły wypiekać własne ciasteczka, co ułatwiały im mosiężne i metalowe foremki i własne piece.

Dziewiętnasty wiek to te czasy, gdy w Środkowej Europie pojawiły się przepisy na słodycze znane do dziś. Te ciasteczka, linckie, kruche, z dżemem, gwiazdki cynamonowe, rogaliki waniliowe, migdałowe, właściwie chyba można nazwać kultowymi, w tym miejscu świata wciąż się wypieka.

Sanatoryjne rozmowy o słodkościach

Siedziałyśmy z pielęgniarką panią Basią nad książkami z przepisami, które przyniosła na moją prośbę. Oglądając zamieszczone w nich oraz jej w telefonie zdjęcia, słuchałam opowieści o tym, czym są cieszyńskie słodkości.

Przede wszystkim te ciasteczka to drobiazgi nie większe niż 2-3 centymetry, wykonywane z miłością i niemalże jubilerską precyzją. Te najmniejsze dowodzą kunsztu gospodyni, a zwyczajem głęboko zakorzenionym w tutejszej tradycji jest pieczenie ich co najmniej na dwa tygodnie przed świętami Bożego Narodzenia. Oczywiście, ilość i jakość zależy od możliwości domu, ale ciasteczek powinno wystarczyć do Nowego Roku.

Nie są to tanie wyroby, liczy się nie tylko wygląd, ale i smak, więc niezwykle ważna jest jakość składników. Do ich przygotowanie używa się prawdziwego masła, a nie margaryny, choć zdarzają się przepisy na ciasteczka ze skwarków. Inne niezbędne składniki to: orzechy włoskie, laskowe, migdały, bakalie, wiórki kokosowe, a także alkohol, który podkreśla smak, często jest to rum lub ajerkoniak. Upieczone ciasteczka zdobi się polewami, siekanymi orzechami, wiórkami kokosowymi, posypkami. I nie tylko upieczone, bo do niektórych wykorzystuje się resztki z pieczenia, pokruszone ciastka albo te nieforemne, nieudane. Kruszy się je na drobno, łączy z kremem i wylepia tą masą specjalne foremki. Kiedyś te foremki przywożono z Czechosłowacji, dziś podobno i u nas są sklepy, gdzie można je kupić. Po wylepieniu w masie robi się otwór, w którym umieszcza się krem lub gęsty ajerkoniak, a potem zakleja się go zwykle kruchym spodem.

W typowym cieszyńskim domu powstaje kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt rodzajów ciasteczek wycinanych, sklejanych, warstwowych, kulanych, przekręcanych przez maszynkę, formowanych, wyciskanych, uli, orzeszków, grzybków, koniczynek, rogalików, kwiatków, półksiężyców… Wymyślnych, charakteryzujących się urodą, kruchością, delikatnością i wyjątkowym smakiem, a przepisy na nie za tydzień. ●

eprasa.pl 245d7ac281

Nr 41 (317) 9-15.10 2026 r. F!

Polsko, siostro moja



Z gadziej perspektywy

Kiedy będziesz w Wietnamie i zapytasz przypadkowo poznanego Wietnamczyka, z kim lub czym kojarzy mu się Polska, najpierw zobaczysz szeroki uśmiech. Potem usłyszysz kilka najbardziej popularnych tam polskich nazwisk. Chopin, Skłodowska-Curie, Lewandowski. Czasem papież Jan Paweł II.

Wietnamska popularność Chopina to oczywistość. Chopin jest kochany w całej Azji. Nieraz w tamtejszych barach docierała do mnie przedzierająca się przez gwar uliczny, płynąca z głośników jego muzyka. W Wietnamie nasz kompozytor kojarzony jest też z wietnamskimi pianistami, którzy brali udział w warszawskim konkursie pianistycznym. Zwłaszcza z Dang Thai Sonem, który w 1980 r. przyjechał na Konkurs Chopinowski. I choć wcześniej w konkursach nie występował, nie grał z wielkimi orkiestrami, to wygrał i zdobył jeszcze trzy nagrody specjalne.

Warszawski konkurs otworzył mu drogę do międzynarodowej kariery pianistycznej. Koncertował potem w najbardziej prestiżowych salach. Często w towarzystwie najlepszych światowych muzyków. W Polsce też grał, był również jurorem w konkursach pianistycznych. Nawet w warszawskim chopinowskim.

Maria Skłodowska-Curie jest w Wietnamie wzorem uczonej. Francuzka, ale z Polski rodem. Kobieta, która dowiodła wszystkim wietnamskim kobietom, że sfera nauki nie jest tylko dla facetów. To ważne w społeczeństwie opartym na paternalistycznych, konfucjańskich wzorach kulturowych. Zwłaszcza że tam uczony, czyli też nauczyciel, zawsze cieszył się prestiżem i szacunkiem społecznym. Nawet gdy był biedny.

Robert Lewandowski, polski mistrz piłki kopanej, ukochany jest przez najmłodszą generację Wietnamczyków. Piłka nożna to w ostatnich latach jeden z najsilniej kochanych tam sportów. Męska reprezentacja Wietnamu dwukrotnie awansowała do ćwierćfinału Pucharu Azji w roku 2007 i 2019. Trzykrotnie zdobyła mistrzostwo Azji Południowo-Wschodniej. W latach 2008, 2018 i ostatnio w 2024. Wtedy wietnamskie ulice oszalały z radości. Spontaniczny karnawał, jaki zapanował na ulicach Ho Chi Minh City, był bardziej gorący niż ten w Rio de Janeiro. Ale Sajgon! – wzdychali obserwujący go wtedy Polacy.

Droga do kompromisu

Papież Jan Paweł II znany jest wśród wietnamskich katolików. Wedle szacunków, stanowią oni od 7 do 10 procent tamtejszego społeczeństwa. Czyli ponad siedem milionów tych publicznie zdeklarowanych.

Papież JPII zasłynął licznymi pielgrzymkami po świecie, ale do Wietnamu nie przyleciał. Powodem był konflikt między władzami Wietnamu a administracją watykańską. Wietnam, podobnie jak Chiny, konsekwentnie stosuje zasadę suwerenności władzy państwowej wobec kościelnej. W praktyce wietnamskie władze nie godzą się na mianowanie prymasa, czyli szefa wietnamskiego Kościoła katolickiego, przez państwo watykańskie bez ich wcześniejszej zgody. Watykan uważa, że takiej zgody nie potrzebuje, bo to narusza jego suwerenność.

Dlatego Wietnam, podobnie jak sąsiednie Chiny, oficjalnych stosunków dyplomatycznych z Państwem Watykańskim nadal nie ma. Ale elastyczne władze wietnamskie i watykańskie próbują znaleźć kompromis. Od grudnia 2023 r. urzęduje w Hanoi pierwszy stały przedstawiciel papieski w Wietnamie. Abp Marek Zalewski, urodzony w Augustowie. Trwa między władzami Watykanu a Wietnamu próba stworzenia zasad zadowalających obie strony. Władze wietnamskie przekazywałyby Watykanowi trzech akceptowanych przez siebie kandydatów na szefa wietnamskiego Kościoła katolickiego, a administracja watykańska wybierałaby jednego z nich. W ten sposób oba państwa zachowałyby cnotę suwerenności.

Cały eksperyment obserwują władze chińskie. Gdyby taki system powstał, to Wietnam, a także Chiny mogłyby utrzymywać wreszcie oficjalne relacje dyplomatyczne z Watykanem. A papieże – odwiedzać te państwa.

Śniegi i brzozy

Czasem, ujawniając w Wietnamie swe polskie pochodzenie, usłyszcie recytację: *Em ơi, Ba Lan mùa tuyết tan, Đường bạch dương sương trắng nắng tràn, Anh đi, nghe tiếng người xưa vọng, Một giọng thơ ngâm, một giọng đàn…*

Po polsku brzmi to mniej więcej tak: *Polsko, siostro moja, w czasie topnienia śniegów, Droga wśród brzóz, mgła biała i rozlana jasność słońca. Idę i słyszę głos dawnych ludzi, Głos recytujący wiersz, dźwięk dawnej melodii…*

To fragment nadal popularnego tam wiersza o Polsce. Przez lata był w szkolnych podręcznikach. Wietnamskie dzieci uczyły się go na pamięć i przy okazji w świadomości wielu pokoleń Wietnamczyków nasz kraj kojarzył się z romantyczną krainą. Urokiem brzozowych, egzotycznych dla nich gajów, zjawiskowym śniegiem. A także walecznym narodem, który po wojnie przecudnie odbudował swoją stolicę.

Wiersz trafił do kanonu obowiązkowych lektur nie tylko dlatego, że ma naprawdę piękne strofy. Napisał go Tố Hữu – poeta świetny, żołnierz wojny wyzwoleńczej, a potem działacz partyjny i państwowy. W szczycie swej kariery był wicepremierem i członkiem Biura Politycznego Partii Pracujących Wietnamu. Tak się w 1959 r. zwała partia wietnamskich komunistów. W marcu tego roku Tố Hữu był gościem III Zjazdu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Przy okazji zwiedził Polskę. Był w Warszawie, Krakowie, Nowej Hucie, obozie w Oświęcimiu i na Wybrzeżu Gdańskim. Partyjne zjazdy bywają nudne dla gości zagranicznych. Trzeba być na ich otwarciu, uczestniczyć w partyjnej mszy. Najciekawiej może być, kiedy gospodarze zafundują pobyt „kulturalno-oświatowy". Czyli zwiedzanie kraju. Ponieważ Tố Hữu był też poetą, efektem III Zjazdu PZPR jest świetny wiersz „*Em ơi, Ba Lan*".

Rok wcześniej poeta odwiedził ZSRR. Gospodarze pokazali mu ostatni dom Lenina w Gorkim i inne pamiątki związane z wodzem rewolucji radzieckiej. Efektem tamtej wizyty był poemat „Z Leninem". Nie wiem, czy jego fragmentów też uczyły się wietnamskie dzieci, bo nigdy ich recytacji nie słyszałem. Nawet kiedy dyskutowałem tam o Leninie.

Za to moje wietnamskie przyjaciółki zdradzały mi, zawsze z zalotnymi uśmiechami, że wiersz „*Em oi, Ba Lan*" jest wieloznaczny. Można go rozumieć też jako zauroczenie, miłość do Polki. Zapewne zaczęło się od spotkanej tam przewodniczki, tłumaczki.

Nie wiem, czy było tak naprawdę. Ale cieszę się, że to ten wiersz, a nie inny z dorobku Tố Hữu, trafił do wietnamskich szkolnych czytanek.

Piotr Gadzinowski

WITAMY W KLUBIE



W Najtklubie pojawiły się zaprzyjaźnione z o. Oktanem służby. Proboszcz Naszej Parafii i zarazem właściciel lokalu zamknął się z nimi w swym gabinecie. Będąc tu cieciem już dawno odkryłem, że każde słowo tam wypowiedziane, za sprawą spartolonej wentylacji, jest idealnie słyszalne w składziku na bioodpady, w którym zainstalowałem sobie na takie okazje wygodne krzesło. Służby wypytywały o Mięśniaka Stacha, Szefa Ochrony Najtklubu i mojego serdecznego przyjaciela. Oktan twierdził kategorycznie, że gościa prawie nie zna, że został mu polecony przez bliżej nieokreśloną osobę z kręgów zbliżonych do miejscowego Klubu Zapaśniczego i tak naprawdę mijają się w pracy. Okazało się, że Stacho podejrzewany jest o defraudację sporej kwoty w kryptowalutach na szkodę paruset mieszkańców Osiedla. Służby poprosiły klechę, aby tę rozmowę zachował dla siebie, gdyż sprawa jest w toku. Przez następne dni o. Oktan na widok Stacha odwracał głowę lub patrzył na niego jak przez szkło. Na szczęście okazało się, że pomylono Stacha z innym gościem, o czym służby rychło powiadomiły księdza. Wtedy o. Oktan nagle zaczął poznawać Mięśniaka, witać się z nim serdecznie i wrócił do zwyczajowej fraternizacji. Odetchnąłem z ulgą. Już się bałem, że mój szef zaraził się tą tajemniczą chorobą, dotykającą ludzi na wysokich szczeblach władzy. Szczęśliwie była to tylko, popularna ostatnio, chwilowa, szybko mijająca infekcja.

OBYWATEL JANEK

eprasa.pl 245d7ac281

Spod kardynalskiego kapelusza

Co łaska, ale nie mniej niż tysiąc. Dolarów



Twarz prezydenta Waszyngtona ma boską siłę przyciągania. Choć garną się do niej wszyscy, to ona sama preferuje kler; katolicki najlepiej.

Sprawa ostatniego wyjazdu Karola Nawrockiego do Stanów Zjednoczonych, w związku z coroczną sesją plenarną Organizacji Narodów Zjednoczonych, ciągle budzi duże emocje. Nie ze względu na to, co polski prezydent tam powiedział czy nie powiedział. Bardziej interesujące jest, że przy okazji jego pobytu w USA pewna fundacja – nieprzypadkowo powołana przez wpływowych funkcjonariuszy Prawa i Sprawiedliwości – wpadła na pomysł, jak zarobić dużą kasę. I to w zielonej walucie; takiej z twarzami amerykańskich prezydentów.

Cena wyłączności

Pomysł był banalnie prosty i polegał na tym, że zainteresowane firmy lub osoby prywatne mogły sobie wykupić we wspomnianej fundacji pakiet umożliwiający dłuższy lub krótszy czas spotkania z polskim prezydentem. Opcje były różne. Pakiet platynowy, za „jedyne" 100 tys. dolarów, umożliwiał dłuższe spotkanie i to „na wyłączność". Pakiet złoty, za „jedyne" 50 tys. dolarów, dawał taką możliwość, ale w krótszym czasie, a najtańszy – srebrny, za „jedyne" 25 tys. dolarów, pozwalał na spotkanie z prezydentem Polski, ale w gronie innych podobnych szczęściarzy. Oferta wywołała burzę medialną, bo po raz pierwszy „legalnie i oficjalnie" sprzedawano czas Karola Nawrockiego. Udostępniano możliwość spotkania z nim nawet na wyłączność (!); wszystko było jedynie kwestią ceny.

Takie postępowanie „środowiska" polskiego prezydenta jest niemal kalką zachowania obecnej administracji waszyngtońskiej. To idol Karola Nawrockiego Donald Trump jest zwolennikiem komercyjnego podejścia do sprawowania władzy w kraju i… nad światem. Amerykański prezydent uważa, że na wszystkim można zarabiać; na własnym wizerunku i na kontaktach z innymi ludźmi także. Wszystko jest tylko kwestią ceny. Mając taki przykład, otoczenie polskiego prezydenta chciało jedynie zmonetyzować swojego szefa.

Niestety (dla geszefciarzy), szum medialny im w tym nie pomógł, a i zaproponowane ceny okazały się zbyt wysokie. Prezydent Polski zrobił w ciągu pierwszego roku swojej prezydentury wiele, aby było o nim głośno, ale nie przełożyło się to na chęć zapłacenia 100 tys. dolarów za spotkanie z nim. Czego, niestety (a może właśnie „stety"?), nie przewidzieli ludzie z jego otoczenia. Dolarów nie zarobili, a smród pozostał.

Lekcje kleru

Nie byłem tym pomysłem zaskoczony, bo jako obywatel Stanów Zjednoczonych pamiętam dobrze, że taka forma zarabiania pieniędzy jest niemal standardem w tym kraju. Przypomnę chociażby, że w ten sposób od lat pozyskuje się tysiące dolarów na polskie diecezje, parafie czy ludzi polskiego Kościoła. Nie ma miesiąca, by jakiś biskup, znaczący ksiądz czy proboszcz jakiejś parafii, której członkowie wyjechali kiedyś do Ameryki, nie „pielgrzymował" do swoich dawnych parafian lub ich potomków. Jest niemal standardem, że podczas takiego krótkiego pobytu – czasami trwającego dwa, trzy dni – są organizowane uroczyste bankiety na cześć szacownego gościa, a dochód z nich trafia do kieszeni duszpasterza. W ten sposób stara Polonia, ale i ci, którzy przybyli do Stanów Zjednoczonych stosunkowo niedawno, pragną utrzymać więź z parafiami czy diecezjami swojego pochodzenia. Oczywiście i ze strony polskiego duchowieństwa jest silna chęć utrzymywania takich kontaktów i „pielgrzymowania" do portfeli ich amerykańskich wiernych.

Znam przypadki księży z Polski, którzy tak polubili duszpasterskie wypady do Stanów Zjednoczonych, że weszły im one w krew. Niektórzy duszpasterze z terenu diecezji tarnowskiej tak często odwiedzali swoich amerykańskich wiernych, że z czasem przyjeżdżali na dłużej. Kilku poczuło nawet tak silną więź z podobizną prezydenta Waszyngtona, że podczas pobytu załatwiło sobie możliwość pozostania w Ameryce i objęcie tam na stałe parafii. Braki kadrowe w amerykańskich diecezjach są na tyle duże, że niejeden amerykański biskup wprowadził takiego księdza do swojej owczarni, a jego kuria biskupia załatwiła wszelkie formalności, nie tylko z jego macierzystą diecezją, ale i z władzami imigracyjnymi USA. Diecezja tarnowska jest mi dobrze znana, gdyż to stamtąd pochodzą moi przodkowie i wiem, ilu wywodzących się z niej kapłanów pracuje obecnie na stałe na terenie USA czy Kanady.

Niezwykle zabawne są bankiety, pikniki czy bale, organizowane na cześć przewielebnego gościa z Polski. Płaci się nie tylko za bilet wstępu, najczęściej od pary (co pociąga za sobą wydatek rzędu kilkuset dolarów), ale też od wysokości wniesionej opłaty zależy, czy będzie się siedziało daleko czy blisko gościa. W trakcie imprezy są organizowane dodatkowe atrakcje. Za stosowną opłatą można sobie zrobić z gościem pamiątkowe zdjęcie, na tle specjalnie przygotowanej dekoracji.



Możliwości jest wiele i organizatorzy prześcigają się w oryginalnych pomysłach, a wszystko tylko w jednym celu: zebrania jak największej kwoty dla ubogiego pielgrzyma ze „starej ojczyzny".

Być może w tym momencie niejeden z Czytelników zadaje sobie pytanie, w jaki sposób te zebrane pieniądze są wywożone z terytorium Stanów Zjednoczonych, skoro taki gość wjeżdża jedynie na kilka dni, ma wizę turystyczną B-2, która nie pozwala mu na jakąkolwiek pracę, a tym samym na zabranie ze sobą jakichkolwiek dewiz z Ameryki? Najczęściej duchowny przewozi je w sposób nielegalny; w kieszeni. Oficjalnie bowiem, tzn. bez formalnego zgłoszenia, można wywieźć „zaledwie" 10 tys. dolarów, czyli – dla polskiego kleru – grosze… Sam znam polskich biskupów i księży, którzy przybywali z Ameryki z setkami tysięcy dolarów. No cóż, siła koloratki jest na tyle wielka, że działa na służby celne po obu stronach oceanu.

Pielgrzym Wiktor

Ale o jednym przypadku chciałbym przypomnieć, tym bardziej, że wspomniałem diecezję tarnowską. Jej ordynariuszem w latach 1996-2011 był pamiętny bp Wiktor Skworc. Przybył do niej z archidiecezji katowickiej, a po piętnastu latach powrócił już jako metropolita katowicki. Dopuścił się w diecezji tarnowskiej wielu podłości, z kryciem księży pedofilów włącznie, ale czego się można spodziewać po tajnym współpracowniku Służby Bezpieczeństwa (SB) o pseudonimie Dąbrowski.

W 2011 r. przez wiele miesięcy załatwiał sobie usilnie w warszawskiej nuncjaturze awans do Katowic. Mimo iż wiedział, że już za kilka dni zostanie ogłoszona jego nominacja na tron metropolity katowickiego, postanowił odbyć ostatnie amerykańskie *tournée* po polonijnych parafiach, aby zebrać dolary na potrzeby diecezji tarnowskiej… i jej pasterza. Nie raczył tam nawet wspomnieć, a była to druga połowa października 2011 r., że jego nominacja na Górny Śląsk to już tylko formalność. I ja go nawet rozumiem: utrudniałoby to rozwieranie wypełnionych dolarami sakiewek należących do Polonusów z ziemi tarnowskiej… Zapewne nietęgie miny mieli uczestnicy bankietów i pikników organizowanych na rzecz W. Skworca, gdy 29 października 2011 r. usłyszeli, że ich przewielebny pasterz przeniósł się z ich dolarami do swojego nowego katowickiego pałacu.

Czasy się zmieniają, ale pazerność naszych polityków i hierarchów kościelnych jest niezmienna. Dzieje się tak od wielu pokoleń i dziać będzie, póki są tacy, którzy na widok polityka czy duchownego tracą rozsądek. Nie myślą, tylko cieszą się, że mogą choć przez chwilę oddychać tym samym powietrzem co ich idol w krawacie lub koloratce. Kościelna zasada: „co łaska, ale nie mniej niż tysiąc dolarów", jest im tak samo bliska jak kult maryjny...

Andrzej Gerlach

FAKTY PO MITACH

TYGODNIK FAKTY PO MITACH
(INDEX 434000, ISSN 2719-5309)

Adres do korespondencji:
ul. Łąkowa 11, 90-562 Łódź
(biurowiec Tower Building)
sekretariat: tel. 501 258 385
w godz. 10.00-14.00
redakcja@faktypomitach.pl
listy@faktypomitach.pl
www.faktypomitach.pl
tygodnikfaktypomitach

Redaktor naczelny: J. Dariusz Cychol
Redaguje zespół: Anton Arbatow, Bożena Bednarek, Joanna Cyterska, Łukasz Czarnocki, Piotr Gadzinowski, Katarzyna Wilk-Wojtczak, Włodzimierz Galant, Andrzej Gerlach, Joanna Hańderek, Jakub Jabłoński, Wacław Jerzy Koniecpolski, Michał Kostur, Artur K. Lis, Krzysztof Lubczyński, Włodek Michalak, Tadeusz Nowak, Adam Papierniok, Bolesław Parma, Stefan Płonicki, Sławomir Sadowski, Joanna Senyszyn, Agnieszka Stefańska, Grzegorz Szokiński, Dorota Wróblewska.

Redakcja zastrzega sobie prawo do adiustacji i skracania tekstów. Nie zwracamy materiałów niezamówionych.
Wydawca:
„Mediator – Jan Dariusz Cychol"
ul. Pedagogiczna 22, 05-840 Brwinów
Regon: 141814816 NIP: 534 110 45 88
Dział kolportażu: kolportaz@faktypomitach.pl
Druk: ZPR MEDIA S.A.
ul. Jubilerska 10, 04-187 Warszawa

Dystrybucja: **Kolporter S.A., Garmond Press S.A.,**
Wersja online: **nexto.pl e-Kiosk.pl eGazety.pl eprasa.pl**
Prenumerata redakcyjna:
prenumerata@faktypomitach.pl
miesięczna – 44 zł (4 wydania)
IV kwartał – 143 zł
„DO-CENT" sp. z o.o.
05-840 Brwinów, ul. Pedagogiczna 22
Nr konta: 32 1240 1242 1111 0000 1588 4921
Poczta Polska S.A.: sklep.poczta-polska.pl

eprasa.pl 245d7ac281



ZAORANE

Warszawa

Stolica jest w szoku, po tym jak kamery miejskiego monitoringu uchwyciły pewną za bardzo wyzwoloną parę. Około godz. 19.30 facet oddał mocz do donicy. Nie wiadomo czy to właśnie urzekło jego partnerkę, która szybko zsunęła spodnie. Tak na oczach przechodniów, na środku chodnika zaczęli uprawiać seks. Po wszystkim odeszli, trzymając się za ręce. Może chcieli zaszaleć w samochodzie, ale paliwo jest tak drogie, że musieli skorzystać z chodnika?

Bartoszyce

Pewien mężczyzna zadzwonił pod numer alarmowy, bo był przekonany, że po jego strychu ktoś chodzi i na niego „czyha". Na miejscu policjanci szybko ustalili, że intruzami są... myszy. Przy okazji sprawdzili jednak dane zgłaszającego i okazało się, że jest on poszukiwany. Tym sposobem gryzonie zostały w domu, a on trafił za kratki.

Krasocin

Pewien 33-latek tak mocno dobijał się do drzwi plebanii, że je uszkodził. O sprawie niewiele wiadomo. Lokalne media informują, że „nie był to pierwszy tego typu incydent i, w związku z tym, proboszcz parafii postanowił zgłosić sprawę policji". Młody mężczyzna przyznał się do winy. Czyżby odrzucony kochanek tak usilnie próbował wrócić do księżowskiej sypialni?

Rozmierka

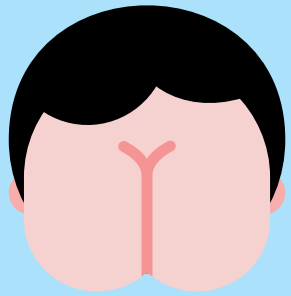
Policjanci zatrzymali 44-latkę, która wjechała w ogrodzenie kościoła, po czym jak gdyby nigdy nic odjechała. Kobieta miała 2,5 promila alkoholu w organizmie i to było najprawdopodobniej powodem jej niespodziewanej wizyty przy kościele. Tylko czekać, aż Ordo Iuris (jak co roku) wykorzysta ten wypadek jako jaskrawy przykład prześladowania chrześcijan w Polsce. Jeszcze z pół promila, a pijacki bełkot można by uznać za jakiś niezrozumiały język, np. arabski...

Jastrzębie-Zdrój

Za oknem coraz zimniej, a w Jastrzębiu coraz bardziej egzotycznie. Niedawno osiem kangurów – w tym jeden biały – wędrowało ulicami miasta. Teraz służby szukają emu o imieniu Tusiek, który uciekł z prywatnej hodowli i od tygodnia korzysta z wolności. Policja apeluje, by nie łapać ptaka na własną rękę i pilnować psów. Trzeba też uważać na lokalnych posłów PiS i Konfederacji. Są tak spragnieni mięsa w szkolnych stołówkach, że nie wiadomo, co może im strzelić do głowy.

Z PiSiej pupy się wyrwało:

Najlepsze rzeczy zrobiliśmy w ciągu ośmiu lat. (...) Lud nie ma wdzięczności, ja to przyrównam po prostu, bo jestem katolikiem. Jezus robił wspaniałe rzeczy: nauczał, uzdrawiał i co zrobiono na końcu z nim? Ukrzyżowali go.



Jerzy Materna
poseł







„Jeździectwo to przepiękny sport, ale jeździmy za swoje. I nie trzeba trzymać koni w Kancelarii".

Adam Szłapka, rzecznik rządu

„Bądźmy fair. Jeśli prezydent pokaże fakturę z datą zakupu Ramzesa sprzed objęcia urzędu przez Karola Nawrockiego, to uznam sprawę za wyjaśnioną".

Radosław Sikorski, wicepremier

„Czepili się tematu jak rzepy końskiego ogona. (...) Jedyne co potrafi ta ekipa, to kłamać i manipulować. Nie miejcie Państwo żadnych złudzeń, będą to robić codziennie".

Rafał Leśkiewicz, rzecznik prezydenta RP

***

„Niejednokrotnie słyszeliśmy fanatyczne wręcz głosy z Polski i innych państw europejskich, w których pojawiała się kwestia Kaliningradu. Dlatego słusznie, że nasi dyplomaci próbują przypomnieć gorącym głowom w Europie o naszych dokumentach regulujących tę kwestię".

Dmitrij Pieskow, rzecznik prezydenta Władimira Putina

„Nie wszyscy będą żołnierzami, ale wszyscy są odpowiedzialni za obronność. Państwo nie broni się wyłącznie siłą swojej armii, ale broni się siłą swoich obywateli przede wszystkim, siłą wszystkich swoich instytucji, siłą społeczności, która się buduje w obronie, siłą swoich sojuszy".

Władysław Kosiniak-Kamysz, wicepremier

„Apelujemy do pana Władysława Kosiniaka-Kamysza, by być może mniej zajmował się wewnętrznymi utarczkami politycznymi, pouczaniem kolegów polityków, a bardziej zainteresował się tym, co jest dzisiaj najważniejsze. Najważniejsze jest bezpieczeństwo państwa polskiego".

Marcin Przydacz, minister w Kancelarii Prezydenta RP

„Jak słyszę harcerzy z Kancelarii Prezydenta, którzy każdego dnia biją się z rządem, zamiast reprezentować urząd prezydenta, który jest prezydentem wszystkich Polaków, to mi się to bardzo nie podoba".

Tomasz Trela, poseł Nowej Lewicy

***

„Rząd Donalda Tuska w tylu miejscach zepsuł państwo, że my w tej chwili mamy sytuację katastrofalną w budżecie państwa i on o tym wie, a jednocześnie nie robi nic z tym, żeby to naprawić".

Piotr Müller, europoseł PiS

„Seniorzy nie mogą płacić rachunków za błędy rządzących! Nie zgadzamy się na to, żeby najpierw psuć finanse państwa, a potem mówić emerytom: teraz musicie zacisnąć pasa! (...) Dziś z niepokojem patrzę na finanse publiczne, które są w gruzach. Budżet nie może być konstrukcją spiętą na trytytki, która trzyma się tylko do pierwszego kryzysu".

Mateusz Morawiecki, były premier

„Najważniejsze sprawy socjalne wydarzyły się dzięki temu, że ministrą pracy i polityki społecznej jest Agnieszka Dziemianowicz-Bąk".

Katarzyna Kotula, osoba parlamentarna i rządowa

Opr. J.D.C.

eprasa.pl 245d7ac281